

Homo Divisus

Konrad Fiałkowski



calibre 0.9.27

HOMO DIVISUS

ISKRY

Warszawa 1979

Opracowanie graficzne

KAZIMIERZ HAŁAJKIEWICZ

ISBN 83-207-0083-9

© Copyright by Konrad Fiałkowski, Warszawa 1979

Redaktor

EWA MIRONKIN

Redaktor techniczny

JÓZEF GRABOWSKI

Korektor

ZENAIDA SOCEWICZ-PYSZKA

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1979 r.

Wydanie I. Nakład 70 000+300 egz.

Ark. wyd. 6,9. Ark. druk.12.

Papier druk. mat. ki. V, 60 g, 92X114.

Druk ukończono w maju 1979 r.

Łódzkie Zakłady Graficzne, Zakład Nr 1

Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.

Zam. nr. 202/11/79. Cena zł 18.— C-50.

I

Gdy się obudził, był dzień i przez wielkie zajmujące całą ścianę okno widział bezlistne gałęzie drzewa, a dalej prostopadłościanny zabudowań z tarczami anten kierunkowych na dachach. Na zewnątrz był wiatr idący porywami od gór, ale jego pokój był dźwiękoszczelny i słyszał tylko bicie własnego serca. Czuł w całym ciele mrowienie. Ciało swego nie widział pod naciągniętym pod samą szyję prześcieradłem, na którym nie było najdrobniejszej nawet zmarszczki. Chciał poruszyć nogą... i nie mógł. I wtedy przyszedł

strach.

Leżał chwilę nieruchomo, aż znowu mógł myśleć. Jest wiosna, wczesna wiosna... lub późna jesień. A wtedy była

zima i przymarzłe płaty lodu na szosie. Ten zakręt nie wydawał się trudny, ale, już gdy skręcił kierownicę, wiedział, że ma za dużą szybkość. Potem wiedział, że nie wyjdzie z tego zakrętu, gdy pedał gazu osiągnął

punkt oporu i czuł poślizg kół. Słupki z czerwonymi światełkami odblaskowymi z przeciwnej strony szosy były coraz bliżej. Miał pewność, że nie wytrzymają ciężaru jego wozu. Na moment, zanim w nie uderzył, przekręcił w stacyjce kluczyk, bo był starym kierowcą i zawsze najbardziej bał się śmierci w płomieniach.

Pamiętał jeszcze szarą płaszczyznę skały z płatami śniegu. Uderzenia nie poczuł...

„I jednak żyję — pomyślał. — Pewnie mnie połatali, jak mogli, a potem zastanawiali się, czy przeżyję.

Nie sprawiłem im zawodu i są zadowoleni. Zawiozę im kwiaty i podziękowania od człowieka, który wrócił z tamtej strony. Zawiozę w fotelu na kółkach, a potem sam się będę martwił dalej. A może miałem szczęście i będę chodził. A twarz... jak wygląda moja twarz?” — poruszył się gwałtownie, ale lustro w pokoju nie było.

Ściany były puste i tylko wydawało mu się, że odbijają więcej światła niż zwykle ściany, tak jakby pokryte były farbą odblaskową.

Gdzieś, ledwie słyszalny, zabuczał brzęczyk. Słyszał go tylko dlatego, że cisza była tak zupełna. Próbował

unieść głowę, ale głowa była w hełmie i poczuł jego ucisk na skroniach. I wtedy usłyszał głos:

— Zbudziłeś się. Czekaliśmy, aż się zbudzisz — to mówiła kobieta. Głos był czysty, bez żadnych zniekształceń,

tak jakby stała tuż obok, ale w pokoju nie było nikogo. — Czujesz się pewnie słaby i jest ci zimno, ale nie martw się, tak musi być i wszystko to jest normalne. To minie i wtedy będziesz mógł chodzić

nawet na dalekie piesze wędrówki, a zimą jeździć na nartach. Będziesz zdrowy, zupełnie zdrowy, tak jak dawniej.

— Jesteś... jesteś tego pewna?

— Tak. Wszystko sprawdziliśmy, każdy twój mięsień, kości. Wszystkie złamania się zrosły. Twój mózg działa normalnie. Żadnych większych uszkodzeń. Jeśli zechcesz, zapomnisz o swoim wypadku na zawsze.

— Zapomnę?

— Jeśli zechcesz.

Milczał chwilę i tylko ściany świeciły teraz jaśniej, a może mu się tylko wydawało.

— Jak długo tu jestem? — zapytał w końcu.

— Długo. Teraz jest wiosna. Za kilka dni zobaczysz pierwsze zielone liście...

— I wyjdę stąd... sam?

— Tak. Przed tobą jeszcze wiele, wiele lat. Jesteś młody, Stef.

— Wiesz, jakie mam imię?

— Oczywiście. Opiekuję się tobą.

— Rozumiem. Operowałaś mnie..?

— Operował cię Telp, jest twoim prowadzącym. Przyjdzie do ciebie potem.

— A ty?

— Jestem przecież z tobą. Rozmawiasz ze mną tylko.

— Zobaczysz mnie później. Teraz jesteś izolowany.

Jesteś jeszcze bardzo słaby. Czujesz to przecież.

— Wracam, zdaje się, z dalekiej drogi.

— Nie rozumiem.

— Ten wypadek. Był chyba poważny. To aż dziwne, że żyję.

— Myślałeś wtedy...

— Nic nie myślałem. Nawet się nie bałem. Nic... w ogóle nic.

— Miałeś szczęście, Stef. Tuż za tobą jechała ciężarówka. Wyciągnęli cię i w kilkanaście minut byłeś w szpitalu.

— Pamiętam, wyprzedzałem ją nawet tuż przed tym zakrętem. Wyobrażam sobie, ile Kar miała z tym kłopotów. Kiedy będzie mnie mogła odwiedzić?

— Kar?

— Tak. Kar, moja żona.

— Teraz jesteś jeszcze bardzo słaby. Zobaczymy, jak skończy się izolacja.

— To długo trwa?

— Nie myśl o tym. Teraz zaśniesz. I tak długo już rozmawiamy. Zbudzisz się silniejszy. Nie będziesz już czuł zimna.

— Ale ja nie chcę jeszcze spać — powiedział to i równocześnie poczuł senność. Nie dosłyszał nawet odpowiedzi. Zasnął.

— Zbudziłeś się. Świetnie — niski mężczyzna pochylał się nad nim. Widział jego oczy, wielkie, ciemne, o tym dziwnym spojrzeniu, jakie tylko mają oczy krótkowidza. — Jestem Telp, twój prowadzący. Jak się czujesz, Korn?

— Chyba dobrze — podciągnął nogi i usiadł.

Hełmu nie było. W pokoju było jasno i przez chwilę myślał, że to świeci słońce. Ale za oknem był deszcz i tylko ściany świeciły silnym żółtym blaskiem.

— To świetnie — powtórzył Telp. — Nie wiesz, jak bardzo się cieszę. Spróbuj wstać — podał mu rękę.

„Mogę się poruszać, naprawdę mogę się poruszać” — pomyślał Korn. Bosymi stopami dotknął dywanu, którym wyłożony był pokój i wstał.

— Wcale nie czuję się słaby — powiedział.

— W porządku. Tak właśnie być powinno. Początkowo możesz nawet odczuwać pewien nadmiar mocy twoich mięśni, zanim się do tego nie przyzwyczaisz.

— Nie rozumiem.

— Mechanizm jest nieistotny i dość skomplikowany. Ale tak właśnie jest. Pamiętaj, że jesteś silny, zapewne silniejszy niż byłeś poprzednio.

— Taka kuracja wzmacniająca?

— Coś w tym rodzaju — Telp uśmiechnął się i wtedy Korn spostrzegł, że Telp jest młody, w jego wieku, może młodszy nawet. Zrobił kilka kroków. Chodzenie nie sprawiało mu trudności.

— Spróbuj zamknąć oczy i przejść jeszcze kilka kroków — powiedział Telp.

Korn zrobił to i wiedział, że Telp jest zadowolony. Wtedy zdecydował się zapytać:

— A twarz... moja twarz jest w porządku?

— Oczywiście. Chciałbyś zobaczyć?

— Tak.

— Lustro — powiedział Telp, mimo że w pokoju nikogo nie było.

— Przyniosą?

Telp uśmiechnął się i wskazał na boczną ścianę. Jej część odbijała wnętrze pokoju i gdy się Korn zbliżył, zobaczył siebie. To była jego twarz, może trochę inna, ale na pewno jego. W pierwszej chwili nie wiedział, na czym polega różnica, a potem zrozumiał. Jego twarz nie miała zmarszczek.

— Zrobiliście zabieg kosmetyczny — powiedział.

— Trzeba było trochę cię poprawić — Telp uśmiechnął się znowu. — Ale jesteś chyba zadowolony?

— Tak. Chyba tak.

Patrzył teraz na swoją twarz: krótko, przy skórze prawie przycięte włosy, i na dziwny opalizujący materiał, który go szczelnie opinał. Skóra opinała się także na jego czaszce, tak jakby rozpychana była przez nią od wewnątrz. Spojrzał na Telpa. Telp ubrany był w strój z tego samego materiału. Guzików nie spostrzegł.

— Jak to się zdejmuje? — zapytał.

Telp podszedł do niego i lekko szarpnął materiał przy szyi. Materiał rozszedł się wzdłuż niewidocznego szwu. Korn widział teraz swoją pierś i cienkie zbielełe blizny po długich cięciach.

— Krajaliście mnie?

— Tak, ale zrosło się świetnie, jak widzisz.

— Zupełnie nie czuję tych blizn — powiedział Korn. — W ogóle, zdaje się, to wszystko, co zrobiliście ze mną, to dobra robota.

— Oczywiście. Jestem dumny z ciebie, Korn, z całego twego ciała.

Korn spojrzał na Telpa, ale twarz tamtego była poważna. — To było aż tak trudne?

— Więcej. To była rzecz zupełnie nowa. Unikalny zabieg.

— Naprawdę?

— Przekonasz się jeszcze o tym. W każdym razie twój organizm jest bez zarzutu, jak dobry wyścigowy samochód. Stuprocentowo sprawny, może nawet nieco więcej niż stuprocentowo. Wszystko przed tobą.

Możesz zostać nawet kosmonautą.

— Ta dziewczyna mówiła mi co prawda tylko o nartach...

— Dziewczyna?

— Ta, z którą rozmawiałem tuż po przebudzeniu.

— Ach, Koma.

— Tak się nazywa?

— Właśnie. Opiekowała się tobą. Ja jestem tylko lekarzem, operacja i zabiegi wstępne. Potem oczywiście też się tobą zajmowałem, ale jako lekarz, rozumiesz?

— Tak. Pewnie masz wielu pacjentów. Kar ma ich zawsze za dużo.

— Kto?

— Kar, moja żona. Musiałeś się przecież z nią kontaktować.

— Tak, oczywiście.

— Ona mnie tu umieściła. To jakaś bardzo nowoczesna klinika.

Telp chwilę nie odpowiadał, patrzył w okno na gałęzie drzewa poruszane wiatrem.

— Jedno jest pewne, Korn — powiedział w końcu. — To, że żyjesz, jej masz do zawdzięczenia.

— No i tobie...

— Moja rola — Telp zawahał się — jest w pewnym sensie wtórna.

— Nie rozumiem.

— Porozmawiamy jeszcze o tym. Teraz coś zjesz. Pierwszy prawdziwy posiłek po długim sztucznym odżywianiu. Cieszysz się?

— Jasne.

— Posiłek wyda ci się może trochę dziwny, ale na razie jesteś na diecie. A ja pójde do innych moich podopiecznych.

Korn chciał go jeszcze zapytać, kiedy skończy się izolacja, ale wtedy właśnie drzwi się otworzyły, wjechał

stolik i zapachniało bulionem. Telp przysunął mu krzesło.

— Siadaj i jedz. Może chcesz posłuchać muzyki. Już starożytni doceniali wpływ muzyki na proces trawienia.

— Jest tu gdzieś radio? — Korn rozglądał się, ale radia nie zobaczył.

— Tylko głośnik. Czego chcesz posłuchać?

— Wszystko jedno — Korn usiadł i rozłożył serwetkę na kolanach. Usłyszał cichy trzask i pierwsze dźwięki melodii.

— Włączyłeś?

— Ja? Nie. To automat — powiedział Telp i wyszedł.

„Automat... — pomyślał Korn. — Cały ten szpital jest automatyczny” — ale potem zaczął jeść, słuchał

Mozarta i przestał się nad tym zastanawiać. Pomyślał o tym raz jeszcze, gdy wstał, a stolik samoczynnie wyjechał przez drzwi, które rozwarły się na chwilę. Chciał

zobaczyć, co się stanie ze stolikiem, podszedł do drzwi i czekał, aż się otworzą, ale pozostały zawarte i widział tylko ich żółtawo opalizującą powierzchnię. Wrócił na środek pokoju, spojrzął w okno, w szare niebo nadchodzącego zmięzchu i zaczął myśleć. Potem położył się i zasnął. Znowu był na drodze w ten poranek, gdy nocny mróz ściał wodę wieczornej odwilży. Znowu wyprzedzał niezgrabne, wielkie autobusy na autostradzie i widział na horyzoncie zbliżające się góry. Wewnątrz było ciepło, bo ogrzewanie pracowało już kilkadziesiąt minut i gdy wjeżdżał w pierwsze serpentyny, pogwizdywał marsz, który pamiętał ze swych harcerskich czasów. A potem przymarzłe płaty śniegu na szosie, zakręt i dziwny ucisk w żołądku, gdy koła oderwały się od nawierzchni. Zbudził się. Czuł tętno na skroniach. Równocześnie usłyszał głos:

— ...i znowu, znowu niekontrolowany sen. To jest niedopuszczalne. Ile razy mam ci to powtarzać...

— Zgodnie ze schematem rekombinacyjnym ta faza musi nadejść — to mówiła kobieta, kobieta, której głos znał.

— Nic mnie twoja faza nie obchodzi. To mój pacjent.

Korn otworzył oczy. Telp stał koło jego łóżka, poza nim nie dojrzał nikogo.

— On już nie śpi. Zajmij się nim. Ja potem wrócę.

Korn spojrzął na drzwi, ale tam także nie było nikogo. Telp patrzył teraz wprost na niego.

— Nie są przyjemne te wszystkie sny. Ale to minie. Potem będziesz miał normalne sny, których nie będziesz pamiętał.

— A ona, dlaczego ona wyszła?

— Kto, Koma? Wróci. W najbliższym czasie będziesz bardziej pod jej niż moją opieką. Koma nadzoruje twój proces adaptacyjny.

— Jest psychologiem?

— Psychologiem też. No cóż, wracam do siebie. Przyszedłem tu, bo ciśnienie twojej krwi wzrosło, tętno ci podskoczyło i chciałem zobaczyć, co się dzieje...

— Wiesz, myślałem nad tym i mam tego dość — powiedział Korn.

— Nie rozumiem.

— Mam dość tej izolacji. Czuję się zdrowy, zupełnie zdrowy, chcę zobaczyć rodzinę, jakieś znajome twarze. Chcę stąd wyjść.

— Wyjdiesz niedługo.

— Słyszałem to już przedtem.

— A cóż byś chciał usłyszeć?

— Termin, jakąś datę.

Telp spojrzął na niego uważnie.

— Przejdziesz proces adaptacyjny. To nie trwa długo, dwa, trzy dni. Potem wyjdiesz i o reszcie sam zadecydujesz. Ale te kilka dni musisz poczekać. Jesteś dorosłym człowiekiem, Korn. — Przy drzwiach odwrócił się jeszcze, spojrzął na Korna i powiedział: — Masz trzydzieści jeden lat i wszystko przed tobą.

Pamiętaj o tym, zawsze.

Wyszedł, a Korn patrzył w sufit, który jarzył się w mroku ledwo widoczną niebieskawą poświatą, i zastanawiał się, co naprawdę chciał mu powiedzieć ten lekarz o szerokim czole, palcach, które jeszcze nie drżały, i oczach krótkowidza. Potem sufit przygasł. Leżał w ciemności. Otworzył oczy, kiedy poczuł

dotknięcie na czole, tuż pod linią włosów. W pokoju znowu było jasno. Zobaczył dziewczynę.

Siedziała na krześle tuż obok łóżka i patrzyła wprost na niego.

„Wygląda jak portret — pomyślał — jak portret starych dobrych mistrzów, którzy nie udziwniali tego świata; jak portret wyjęty z ram”.

— Ty jesteś Koma? — zapytał.

— Tak. Rozmawialiśmy już ze sobą. Teraz przyszedłam do ciebie.

— Wiem, jesteś psychologiem. Kierujesz moim procesem adaptacyjnym.

— Można tak to nazwać. Ale cały ten proces to po prostu rozmowa — mówiła spokojnie, wyraźnie jak dobry wykładowca.

— Od czego chcesz zacząć?

— To obojętne. Kiedyś zajmowałeś się astronomią, prawda?

— Tak, jeszcze przed maturą. Skąd o tym wiesz?

— Musisz przyjąć, że wiem o tobie bardzo dużo, przyjąć to jako założenie i nie dziwić się więcej. Zgoda?

— Tak. A więc zajmowałem się astronomią, to było wcześniej, zanim zacząłem studia na wydziale biofizyki.

— Ucieszyłam się, gdy to znalazłam. Z tymi, którzy patrzyli nocami w niebo, łatwiej mi się rozmawia, są trochę

ponad czasem. To zostaje na całe życie.

— Nie rozumiem.

— Rozumiesz, tylko może jeszcze o tym nie wiesz. Przypomnij sobie...

Chciał powiedzieć, że nie wie, co mógłby sobie przypomnieć, ale wtedy właśnie poczuł wieczorny wiatr ze spalonej słońcem równiny i pamiętał niebo, na którym błyszczały jasne wieczorne gwiazdy. To było dawno, dziesięć, dwanaście lat wcześniej, droga z koleinami zastygłej gliny, niskie gliną oblepione chaty, beczenie kóz, a potem ta równina i ruiny, z których oni patrzyli w niebo.

— Nad pustynią gwiazdy są bliżej — mówił skośnooki starzec — i dlatego zbudowali tu obserwatorium.

Nocami patrzyli w niebo, a raniem, gdy wschodziło słońce, schodzili w głąb, w podziemia na odpoczynek.

To już tysiąc lat prawie, gdy odeszli, ale gdyby żyli dzisiaj, żyliby tak samo. Pamiętał jego twarz, gdy

tamten patrzył w niebo. Zapamiętał ją wtedy, twarz tego starca, który prowadził stary rozlatujący się autobus, żuł

tytoń i targował się o cenę przejazdu. Potem była noc i gdy wracali szosą przez pustynię, gwiazdy nad pustynią były bliżej.

— Ty wiedziałaś o tym obserwatorium? — zapytał.

— Tak. Ale wtedy byłeś jeszcze za młody i tak jak teraz wszystko wydawało ci się niezmiennie albo raczej bardzo powoli przemijające. Tak jest zawsze, dopóki jesteś młody. Gdy spostrzegamy, jak wszystko się zmienia, jesteśmy

starzy. Od tego momentu dni są coraz krótsze, lato łączy się z zimą i następnym latem, a jesieni i wiosny prawie nie zauważamy.

— Po co mi to mówisz?

— Bo czas jest twoim problemem.

— Problemem?

— Tak.

Nie rozumiał. Patrzył uważnie na dziewczynę, widział jej nieruchome ciemne oczy i włosy, które były gładkie i spięte z tyłu w wielki węzeł. Spojrzał na jej ręce, lecz w pierwszej chwili zobaczył tylko jasną plamę dłoni, która wyostrzyła się, gdy jej się przyjrzał.

„Jak w kinie, gdy obraz nastawia niewprawny operator — pomyślał. — Ale mózg mój nie jest w porządku, jeśli widzę w ten sposób. Zresztą dobrze, że w ogóle widzę i nie powinienem myśleć o takich drobiazgach”.

— Ile ty masz lat, Koma? — zapytał.

— Ja? Czy to ważne?

— Chyba jednak tak. Przemawiasz do mnie jak, powiedzmy, dużo starsza siostra wprowadzająca chłopaka w życie, a podejrzewam, że bawiłaś się jeszcze w piasku, kiedy ja robiłem maturę.

— Nigdy nie bawiłam się w piasku — powiedziała to spokojnie jak wszystko inne, a jednak Kornowi wydawało się, że ją uraził.

— Takie niemądre porównanie — powiedział. — W każdym razie jesteś młodsza ode mnie. Przypuszczam, że masz mi coś do powiedzenia i chciałbym, żebyś powiedziała to możliwie prosto i jasno.

Przez chwilę nie odpowiadała, a potem uśmiechnęła się:

— Stef — powiedziała — powiem ci jedno prosto i jasno. Ta rozmowa, jak i wiele innych, to moja praca.

Wiem, co robię i dlatego jeszcze trochę porozmawiamy, chyba że jesteś zmęczony.

— Nie, nie jestem zmęczony i chciałbym to jak najszybciej mieć za sobą. Potem mogę rozmawiać z tobą na wszystkie tematy, jakie zechcesz.

— Myślisz, że będziesz chciał? Nie przypuszczam, byś chciał. Powiedz mi, czy kiedykolwiek chciałeś zostać kosmonautą?

— Każdy chłopak z mego pokolenia chciał.

— Ale potem jeszcze o tym myślałeś?

— Może kiedyś. Nie pamiętam.

A jednak pamiętał. To było wtedy, gdy pierwsza załoga wylądowała na Wenus. Widział w ekranie telewizora tłum na ulicach, chorągiewki ze srebrnym grotem kosmonauty i kwiaty, które dziewczyny rzucały do samochodów. A w samochodach widział ich twarze, znane z fotografii w gazetach, ludzi, którzy wrócili stamtąd. Tych, którzy wrócili w metalowych skrzyniach w ładowniach raket, nie pokazywano, ale byli w tle tego wszystkiego, bo podkreślali bohaterstwo żywych. Potem spóźnił się do kina, bo transmisja była długa i chciał widzieć wszystko do końca. Ale miał już wtedy tyle lat, że nie potrafił sobie wyobrazić siebie uśmiechniętego w samochodzie razem z nimi. Może jeszcze potrafiłby myśleć o sobie tam na Wenus, opuszczającego raketę, wchodzącego w skafandrę w biały bezwietrzny opar planety.

— Ja, kosmonautą. Jakoś trudno to sobie wyobrazić — powiedział.

— Wyprawa do odległych planet, powrót po latach...

— Nie, to nie dla mnie.

Milczała chwilę.

— A czy nazwisko profesora Bedforda coś ci mówi? — zapytała wreszcie.

— Nie. Jakies jego twierdzenie, dowód? A może powinienem go pamiętać z jakiegoś zjazdu?

— Nie. To dawniejsze czasy. Przed twoim urodzeniem. Twój ojciec pamiętałby zapewne to nazwisko.

— To zadzwoń do niego i zapytaj go.

— Nie żartuj.

— Mówię poważnie. Jeśli ci na tym zależy.

— Ja wiem, kto to był Bedford. Nie jest zresztą istotne, czym się zajmował. Do historii wszedł jako pierwszy człowiek, który pozwolił się zamrozić, żeby przetrwać. Umierał na raka i gdy stan był

beznadziejny, ciało jego ochłodzono, tak że procesy życiowe w organizmie ustały, a rozpad tkanek nie nastąpił. Potem zamkniętego w hermetycznej powłoce zanurzono w płynnym azocie. Teoretycznie proces był odwracalny. Ale tylko teoretycznie... W jego czasach nikt nie potrafił naprawdę zrealizować tego powrotu.

— I on postanowił przetrwać zamrożony?

— Przetrwać tyle lat, aż ludzie zdobędą sztukę przywracania zamrożonemu ciału życia i sztukę leczenia raka. Dla niego czas się zatrzymał.

— On umarł?

— Nie, on trwa. Jest to ten trzeci stan między życiem

a śmiercią — trwanie. Stan, gdy się nie umiera i jest się ponad czasem. Stan, w którym kosmonauci lecą do Urana i Neptuna. Gdy on się obudzi, Wega przesunie się na niebie i w głębi Kosmosu rozbłyszczą nowe słońca.

Korn patrzył na Komę i widział jej nieruchome oczy i twarz, która się wyostrzała, gdy jej się przyglądał.

— Dla niego czas będzie takim samym problemem? — zapytał w końcu.

— Tak.

Zrozumiał. Był więc w innym czasie. Ile minęło lat? O stuleciach nie myślał, bo ci ludzie byli przecież takimi samymi ludźmi jak on, może nieco innymi, ale jednak zwyczajnymi ludźmi. A może oni są inni, tylko pokazują mu taką twarz, którą on zna, swoją zawodową twarz przeznaczoną dla takich jak on podróżników z ciekłego azotu. A świat się zmienił i obiektywnie istniejąca twarz świata jest inna — obca, a więc przerażająca. Patrzył na ściany, które płonęły niezmiennym blaskiem i starał się być spokojny.

— Ile... ile lat minęło? — zapytał w końcu.

— Pół wieku, może trochę więcej.

— To dużo? — powiedział i równocześnie pomyślał, że takie pytanie nie ma sensu. Ona jednak zrozumiała.

— Chyba dużo — patrzyła na niego tym nieobecny spojrzeniem.

— Miałbym teraz ponad osiemdziesiąt lat...

— Nie myśl tak. Masz trzydzieści jeden. Pamiętaj, trzydzieści jeden! To tylko jest prawdziwe i tylko

to jest

ważne. Wracasz z podróży, z dalekiej podróży, jak kosmonauta.

— Wierzysz w to, Koma?

— Wierzę.

— I co z tego? To jednak jest inny świat.

— Ludzie są zawsze tacy sami. A reszta to techniczna dekoracja.

— Może tacy sami, ale już nie ci sami. Miałem rodzinę, przyjaciół...

— To wszystko przed tobą.

— Cóż innego możesz mi powiedzieć. To nie będzie jednak proste.

— Wolałbyś umrzeć, nie zbudzić się więcej?

— Nie wiem. Chyba nie — patrzył znowu na ściany i wtedy jej twarz rozmywała się w jasną plamę z ciemnym zarysem włosów.

— Poza śmiercią, to było jedyne wyjście.

— Jak u Bedforda.

— Tak. Tylko ty od początku miałeś większe szanse. On jeszcze trwa. Dla niego świat będzie jeszcze trudniejszy...

— Ale on się na to zgodził!

— Czy to ważne? Czy na swoje urodzenie wyrażałeś zgodę?

Spojrzał na nią i pomyślał, że chce być sam.

— Ty mnie obserwujesz... jak obiekt. Pewnie robisz doktorat — powiedział i po raz drugi spostrzegł, że ją uraził.

— Nie, nie robię doktoratu — powiedziała. — Pójdę już. Ja chcę ci po prostu ułatwić poruszanie się w tym trochę innym świecie.

— Więc izolacja się kończy?

— Tak. Twoje ubranie czeka na ciebie — wskazała

uchyloną ścienną szafę. Korn pomyślał, że przedtem szafy tam nie było, ale nic nie powiedział. — Jutro pokażę ci kilka stereowidów, to znaczy filmów.

— ...i mogę stąd wyjść? — przerwał jej.

— Tak.

— W każdej chwili, teraz, za godzinę?

— Tak. Jednakże odradzałabym ci pośpiech, ale zrobisz, jak zechcesz. I jeszcze jedno: tu jest twój zlicz

— podała mu mały metalowy pierścień z tłoczonymi drobnymi znakami.

— Co to jest? Karta identyfikacyjna?

— Więcej. To jedyna rzecz, która jest ci niezbędna. Zapamiętaj swój zlicz. Możesz zapomnieć, jak się nazywasz, ale zlicz musisz pamiętać.

Światła jakby przygasły i twarz dziewczyny widział niewyraźnie. „Nie chcę zasnąć” — pomyślał i więcej już nic nie pamiętał. Gdy się zbudził i dotknął swego c.żola, czuł pod palcami wgniecenie skóry, takie jakie zostawia hełm. Był dzień. Za oknem widział drzewo i pierwsze drobne, zielone liście.

II

Ćwiczenie wykonywał powoli. Podciągnął się w górę, bez wysiłku, aż jego broda znalazła się na wysokości drążka. Pod palcami czuł gładkość metalu i jego zanikający pod dotknięciem chłód. Rozluźnił

mięśnie i opadł na wyciągniętych ramionach w dół. Spojrzał z góry na Rota stojącego w zagłębieniu elastycznej podłogi, które utworzyło się pod ciężarem ciała tamtego.

— Dalej — powiedział Rot.

Puścił lewą ręką drążek i teraz wisiał na prawej. Zacisnął mocniej palce, spojrzął w górę na przezroczyste sklepienie sali i rozpoczął swój ruch w górę. „Moje ramię pracuje jak maszyna — pomyślał. —

Przekazuję mu polecenie, a ono podciąga mnie w górę bez wysiłku. Gdyby jeszcze nie ta sztywność palców...” Wyprostował ramię i znowu na nim zwiśł. Pomyślał, że podłoga może stanowić model pola z punktem osobliwym w miejscu, gdzie stał Rot. Zastanawiał się nad tym, a tamten pomyślał, że odpoczywa.

— Zmęczony jesteś? — zapytał.

Korn potrząsnął głową.

— To druga ręka — powiedział Rot.

Korn chciał pokazać, jak łatwo przerzuca swój ciężar z ręki na rękę, puścił prawą drążek, ale palce lewej pokonując sztywność zaczęły się zwierzać o ułamek sekundy za późno i poczuł, że spada. Uderzył o podłogę i zaczął się zagłębiać w jej sprężynującą powierzchnię. I wtedy zaczął pamiętać: uczucie upadku, czarne ściany szybu łączone szarym spoiwem, ledwo uchwytna woń stęchlizny i wreszcie uderzenie w lepka, elastyczną powierzchnię rozstępującą się pod ciężarem jego ciała. Śluz, letni śluz zaklejający oczy, usta, śluz o smaku mleka, a potem ucisk w piersiach, brak oddechu i strach. A wcześniej pamiętał pracownię z ekranami kontrolnymi pulsującymi rytmem, o którym wiedział, że jest rytmem nadsystemu, i świecące wskaźniki cyfrowe liczące „do tyłu” ku zeru.

Spojrzał na Rota.

— W porządku, wszystko w porządku.

— Powtórzysz? — zapytał Rot.

— Oczywiście — odpowiedział i zaczął po linie wspinać się w górę. Pamiętał, że tam nie było liny, tylko kłamry, które były za wysoko, by je dosięgnąć z powierzchni śluzu.

Po chwili zwiśł na prawej ręce i podciągał się na niej w górę, a ręka pracowała jak automat, bez wysiłku.

Prysznic był ciepły i czuł uderzenia strumieni wody wgniatające mięśnie na plecach. Rot czekał na niego u wyjścia kabiny, w której suchy, ciepły strumień powietrza rozpląszczał na skórze krople wody, zanim znikły parując.

— Trening mięśni palców, z tym zawsze najtrudniej — mówił Rot. — Ale to jest konieczne. Siła mięśni to nie wszystko. Na to chyba nie narzekasz? — spojrzał na Korna.

— Nie. Pracują jak dwa dobrze naoliwione podnośniki.

Wyszli na korytarz, długi, sklepiony, opalizujący tunel bez drzwi i bez okien, którego podłoga ugięła się lekko pod ich stopami.

— Dziś po południu będziesz jeszcze pływał — powiedział Rot. — A potem ćwiczenia w wirówce.

— Nie znoszę przeciążenia. Czy to konieczne?

— Tak. Inaczej nie zawracalibyśmy sobie tym głowy. Idziesz na obiad?

— Potem. Teraz mam jeszcze spotkanie z Komą?

— Z kim?

— Z Komą, psychologiem. Nie znasz jej?

Rot spojrzał na niego uważnie..

— Nie znam. Skąd mam znać? Ja się zajmuję waszymi mięśniami, a także sportem i pilotowaniem. Te wszystkie inne sprawy mnie nie interesują. Tamci ludzie też. Nic mi do nich.

— Ale to miła dziewczyna.

— Nic mi do nich — powtórzył — Na szczęście jestem zdrowym, normalnym człowiekiem.

— A ja nie?

— Ty — Rot patrzył teraz prosto w głąb korytarza — ty też, ale jeśli raz trafiłeś do nich... Szkoda gadać —

machnął ręką. — No, na razie. Spotykamy się na pływalni.

Staął w miejscu, gdzie na podłodze korytarza jarzył się numer jego wyjścia. Ściana korytarza rozwiła się, Korn poczuł tylko uderzenie ciepłej fali powietrza i Rot przeszedł przez tę ścianę, która zaraz zmatowiała i znowu opalizowała zielono jak cały korytarz.

Korn też odszukał swój numer i gdy ściana rozwiła się, wszedł do laboratorium Komy. Nie było jej, jak zwykle. Poza spotkaniami, gdy leżał w fotelu z hełmem uciskającym skronie, nie widywał jej. Myślał, że nie chce się z nim spotykać wtedy, gdy jego słowa i zmiany elektrycznej aktywności jego

mózgu nikną niezapisane i gdy to, co powie, przestaje być obiektem analizy zapisanym w mnemonach. Potężny fotel z hełmem stał pośrodku pokoju. Widział ciemny zarys oparcia na tle matowych okien przepuszczających jedynie przyćmione światło dnia. Przewody w plastikowych obudowach, tworzące pęki grubości ramienia, znikwały pod podłogą, a w jednej ze ścian umieszczono ekrany jarzące, się szarą poświatą jałowej pracy urządzenia.

— Już jesteś, Stef — usłyszał głos Komy. — Usiądź w fotelu, zaraz przyjdę do ciebie. Założę tylko nowe mnemony. Wszedł na cokół, na którym umieszczono fotel, usiadł i poczuł, jak czujniki ukryte w pokryciu fotela odczytują kształt jego ciała, zmieniając krzywizny oparc.

Patrzył teraz z góry na pulpit sterujący, za którym za chwilę stanie Koma i spojrzy na niego tak jak zawsze, spojrzeniem, które znał i pamiętał. Ekrany rozjaśniły się. Na pulpicie zamigotały światła. Korn dotknął

głową oparcia i poczuł ucisk hełmu, a potem ten krótki moment zamroczenia, gdy kontury przedmiotów rozmazały się, a potem wróciły do właściwych kształtów i proporcji.

— Już idę — usłyszał głos Komy.

Weszła, stanęła za pulpitem i spojrzała tak, jak tego oczekiwał. Starał się uśmiechnąć, ale ona jakby tego nie zauważała.

— Twój zlicz, Stef? — zapytała.

— Powtarzałem to już tyle razy.

— Nie szkodzi. Powtórz raz jeszcze! Teraz dzieci pamiętają numer swego zlicza wcześniej, zanim poznają swoje imię. Ciebie ominęły te wszystkie ćwiczenia wieku niemowlęcego, ale nadrobimy je powoli.

A więc twój zlicz...

— ASMI 413 9221.

— Świetnie — uśmiechnęła się. — Każdy ma swój zlicz...

— ...i według zlicza jest rozpoznawany przez Opiekuna — dokończył. — A twój zlicz, Koma?

Nigdy potem nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie. Może po prostu miał już dość sytuacji, w której te same odpowiedzi powtarzał dzień po dniu i były one znane zarówno jemu, jak i Komie, zanim pytanie zostało zadane. Może pozornie, na chwilę, chciał zamienić się z Komą rolami, mimo że było to niemożliwe, bo przecież on siedział w fotelu z hełmem, a ona obserwowała jego reakcje na ekranach pulpitu sterującego. Zadał to pytanie i

spostrzegł twarz Komy znieruchomiałą, bez wyrazu.

— Nie powinieneś był tego mówić — powiedziała powoli. — Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego

ludzie są tacy?

— Ależ Koma...

— ...bawić się w piasku albo robić doktorat. To wszystko także kiedyś powiedziałeś.

— Nie rozumiem. Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

Chciała odpowiedzieć, ale nagle znieruchomiała i Korn patrząc na nią z góry odniósł wrażenie, że spoza tych ścian Koma nadśluchuje głosów, których on usłyszeć nie jest w stanie. Potem spojrzała na niego i odruchowo poprawiła włosy.

— A więc pamiętasz już swój zlicz. A jaki jest stan twoich mięśni?

— Myślę, że dobry.

— Żadnych trudności?

Milczał chwilę.

— To Rot już ci mówił o tym upadku?

— Niepotrzebnie się tym aż tak przejmujesz — powiedziała. — Naprawdę nie ma powodu. Cóż, chwilowa sztywność palców. To się zdarza każdemu.

— To nie to, Koma...

— Więc w czym problem? Nie możesz sobie przypomnieć?

Nie chciał sobie przypomnieć, ale sam nie wiedząc kiedy zaczął o tym myśleć. Szyb, zapach stęchlizny i śluz....

— Nie! Ty mnie zmuszasz, bym o tym myślał. Nie chcę! Słyszysz]

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Przepraszam cię, Koma — powiedział. — To wspomnienie czegoś, czego nie przeżyłem. Wiem o tym.

Nie mogłem niczego takiego przeżyć. Nie byłem nigdy w takim laboratorium. I ten śluz, śluz o smaku...

mleka.

— I co jeszcze?

— Szyb, w którym spadam i liczniki liczące wstecz.

Podeszła do niego i poczuł dotyk jej dłoni na swojej ręce.

— Nie myśl o tym, Stef — powiedziała. — Wiem, że nic takiego nie przeżyłeś. To wszystko nieprawda.

Czasem w snach jesteśmy w miejscach, których nigdy nie widzieliśmy, i uczestniczymy w zdarzeniach, których nigdy nie było. Potem w momencie przebudzenia nie wiemy, czy działo się to naprawdę, czy wszystko jest tylko złudzeniem. Ty, Stef, budzisz się ze snu, z długiego snu, snu trwającego dziesiątki lat —

pochyliła się nad nim i widział z bliska jej twarz. Wtedy pomyślał, że nie spostrzegł tej chwili, w której wchodziła na stopnie fotela. Wcześniej była na dole, a potem tuż przy nim; że jest w tym jakaś nieciągłość, taki brak ciągłości w czasie i przestrzeni, jaki widzi się w stereowizji, kiedy zmienia się ujęcie, ale nigdy nie obserwuje się w życiu. Nie rozumiał tego i ta niepewność musiała zniekształcić odbierane prądy jego mózgu, bo wykresy w ekranach zafalowały niedostrzegalnie, ale Koma spostrzegła to, mimo że przed chwilą jeszcze myślał, że patrzy tylko na jego twarz.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic. Nic szczególnego.

Nie powiedział jej. Zawsze mówił jej wszystko, o czym myślał, bo ufał jej i była jedynym łącznikiem jego świata, świata zapisanego w jego mózgu z tym, co go otaczało. Nie powiedział jej, bo przecież nie mógł

powiedzieć tej dziewczynie, że widzi ją jak obraz stereowizyjny, ją, której dotyk przed chwilą jeszcze czuł na swojej dłoni.

— A jednak coś cię... — zawahała się przez moment — zaniepokoiło — dokończyła.

Pomyślał, że jest to właściwe określenie, którego on nie sformułował, odczytane przez Komę z falujących wykresami ekranów.

— Nie, naprawdę nie...

Przyglądała mu się uważnie.

— Stef — powiedziała w końcu — nie mogę dzisiaj nawiązać z tobą pełnego kontaktu. To niedobrze. Czy ty mi nie ufasz?

— Jeśli ufam komukolwiek, to tobie.

— Ja wiem, te twoje przewidzenia. Chciałbyś, żebym ci to wszystko wytłumaczyła, skąd, dlaczego... A ja nie mogę tego zrobić. Dlatego przestajesz mi ufać. Tak jak dziecko, gdy przekona się, że rodzice nie są wszechmocni.

— Nie żartuj, Koma. Nie jestem dzieckiem.

— Ale mechanizm jest ten sam — wróciła do pulpitu sterującego — a wyjaśnić ci tego wszystkiego nie mogę. Cóż, musisz się z tym pogodzić i ufać mi mimo to.

Koma czekała. Powinien jej być teraz wszystko powiedzieć, a jednak nie powiedział. Pomyślał, że krzywdzi tę dziewczynę, która przebywa z nim tyle godzin każdego dnia, mimo że na pewno ma swego chłopaka, któremu mówi, że dziś się z nim nie zobaczy, bo ma pacjenta, szczególnie trudny przypadek wymagający wiele czasu i opieki, i ten chłopak nie lubi go, nie jego, Stefa Korna — nie lubi bezimiennego pacjenta Komy, po prostu jednej ze spraw, którymi Koma się zajmuje, gdy jest sama.

Koma czekała dalej i patrzyła na niego. Zrozumiał, że powinien coś powiedzieć.

— Dlaczego... dlaczego to miało smak mleka? — zapytał w końcu.

— To nie miało żadnego smaku. To był sen, tylko sen, jeden z wielu, jakie śniłeś w swoim życiu — twarz Komy, którą przed chwilą jeszcze widział wyraźnie rozmazywała się. „Zasypiam” — pomyślał i nie widział

już Komy, tylko śnieżną płaszczyznę stoku zamkniętą daleko w dole ciemnym pasmem lasu, czuł swoją szybkość i mroźne suche powietrze. Zmrużył oczy, bo słońce odbijało się od śniegu i czuł wibracje swoich mięśni amortyzujących drobne nierówności stoku. W przodzie, niżej, widział żółty skafander dziewczyny niknący chwilami w chmurze drobnych kryształów śnieżnego pyłu, wtedy gdy niewidocznym ruchem nart zmieniała kierunek. Zbliżał się do niej, bo jechał po prostej nie wytracając szybkości, ze świadomością, że jedzie trochę powyżej własnych możliwości, z tą świadomością, która dopiero daje pełne zadowolenie. Z

lewej mignęły pierwsze pokryte śniegiem kosodrzewiny. Wtedy dziewczyna zniknęła i widział tylko kłęb śniegu zsuwający się coraz wolniej w dół, a potem nieruchomą sylwetkę — żółtą plamę skafandra i czarne kreski odrzuconych nart. Jechał, teraz wprost na nią z tym uciskiem w piersią który jest strachem. Bał się o nią, o tę dziewczynę, której twarzy ani imienia nie mógł

sobie przypomnieć, ale wiedział, że jest mu bliska. Przy skręcie poczuł zwielokrotniony ciężar swego ciała, ale wytrzymał i wytracił szybkość. Przypadł bokiem do śniegu i wyciągając rękę w rękawicy sięgnął do jej kaptura. Zobaczył jej twarz. To była Koma. Ona się śmiała.

Obudził się. Głowę miał poza hełmem. Widocznie poruszył się zbyt gwałtownie i uchwyty przyciskające elektrody do skroni puściły. Za pulpitem sterującym nie było nikogo. Oparł się o poręcz fotelu i wstał.

Czuł odprężenie, które przychodzi po skończonym zjeździe i słabość mięśni pamiętających wysiłek. Ciepło pomieszczenia sprawiało mu radość, taką samą, jak ciepło opalanej izby, po odpięciu i otrzepaniu ze śniegu nart. Rozejrzał się wokół. Ekran były szare i puste. Gdzieś z sąsiedniego pomieszczenia usłyszał głos Telpa.

— ...jestem temu przeciwny. Badania nie zostały zakończone, wyniki nie są opracowane...

— Skończymy tę dyskusję... — to był głos Komy. — Decyzja została podjęta. Twoja praca...

— Moja praca nie jest najważniejsza. To jest także mój pacjent.

— Mój także.

— ...w tym sensie, jak każdy z nas. Ale jego stan fizyczny...

— Telp, pracujesz tu dostatecznie długo, aby wiedzieć, że takie decyzje nie są zmieniane. Więcej na ten temat

nie będziemy rozmawiać — Koma mówiła spokojnie, może nieco głośniej niż zazwyczaj.

Telp nic nie odpowiedział i Korn usłyszał jego kroki. Szedł ku wyjściu. Korn widział rumieniec na jego policzkach. Poruszył się i wtedy Telp go zauważył. Podeszedł do niego.

— Żegnaj, Stef. Więcej się już nie zobaczymy.

— Co się stało?

— Wyjeżdżasz. Dowiesz się o tym wkrótce. Byłeś dobrym pacjentem, lepszym niż ja lekarzem.

— Nie rozumiem.

— Widzisz, lekarze w tych czasach to także konstruktorzy rąk, głów i wspomnień. Wspomnień pacjenta, oczywiście. To nie tylko konserwatorzy i naprawiacze, jak było kiedyś. Teraz można człowieka przekonstruować, poprawiać, tak, by mógł polecieć na księżyc Urana i nadzorując automaty pracować w sztolniach, gdzie jest wieczny mrok i kosmiczny mróz, a mimo to, aby widział wszystko i było mu ciepło.

Albo by pracował w głębinie morza bez skafandra jak ryba głębinowa. I żeby był szczęśliwy... ale o to najtrudniej. Chciałbym, żebyś był szczęśliwy, Stef.

— Czy myślisz, że będzie to aż tak trudne?

— Nie wiem. To także zależy od ciebie. I chciałbym, żebyś jeszcze jedno wiedział. To, czym jesteś, to konstrukcja nieznana. Eksperyment tego, co nazywa się medycyną.

— Mówiłeś o tym.

— Tak, ale chcę, żebyś to zrozumiał.

— Eksperyment chyba udany. Czuję się przecież znakomicie.

— Ale jesteś inny. Inny niż byłeś i inny niż inni ludzie.

Korn nie odpowiedział, a Telp patrzył na niego uważnie.

— Zrozumiałeś mnie? — zapytał.

— Nie bardzo. Jak to inny? Nie czuję tego.

— Nie możesz czuć, bo nie możesz wyjść z siebie i spojrzeć na siebie z zewnątrz. A to, co i jak czujesz, uważasz za naturalne. Ale potem dowody pośrednie przekonają cię o tym.

— Po co mi to mówisz?

— Chcę, żebyś wiedział. Jesteś człowiekiem, a ja mimo wszystko jestem lekarzem i dlatego powinienem ci to powiedzieć.

— I co jeszcze? — Korn powiedział to twardo.

— Wolałbyś nie wiedzieć?

„Nie wiedzieć” — pomyślał Korn. Teraz już wiedział i to, czego by chciał, nie miało już żadnego znaczenia.

— Na czym polega ta... modyfikacja? — zapytał.

— Na wielu drobnych usprawnieniach, ale przede wszystkim na tym, że jesteś niewystabilizowany. Nie mogłem tego zrobić inaczej, Korn.

— Niewystabilizowany?

— Tak. I możesz przestać być, nagle niespodziewanie, a może bezpowrotnie.

— Umrzeć?

Telp spojrział na niego jakoś dziwnie.

— Nie — powiedział. — Po prostu przestać być.

— Nie pojmuję. O czym ty mówisz?

— Musiałem ci o tym powiedzieć, musiałem, bo inaczej nie można z człowiekiem. I wybac mi chociaż ty, bo mogłem tego nie robić, i to dla mnie nie ma usprawiedliwienia.

Telp odwrócił się. Korn chwycił go za ramię, ale ręka obsunęła się po śliskim materiale ubrania tamtego.

— ...nie ma usprawiedliwienia... — powtórzył jeszcze Telp i ściana rozwierając się zrobiła mu przejście.

Wyszedł nie oglądając się, ale gdy Korn chciał biec za nim, ściana była już zawarta i delikatnie, elastycznie odrzuciła go.

— On był trochę dziwny, Stef, prawda? — usłyszał głos Komy. Odwrócił się, ale Komy nie było. — A ty wyjeżdżasz do instytutu, gdzie będziesz pracował, żył tak jak wszyscy ludzie. To następny etap adaptacji.

— Ale on, dlaczego on mówił w ten sposób?

— Chciałby cię tu może jeszcze na dłużej zatrzymać. Nie rozumie, że jesteś nie tylko jego pacjentem, że jesteś człowiekiem. Nie możesz tu żyć tygodniami w odosobnieniu. Badania testowe, pływanie, rozmowy ze mną, to nie wszystko. Człowiek musi pracować, spotykać innych ludzi, coś tworzyć i być częścią większej całości. Inaczej zaczyna myśleć o rzeczach, które nie istniały, jest sam i przestaje być szczęśliwy.

— Rozumiem. Ale to, co mówił...

— Mówi się różne rzeczy, których się później żałuje lub zapomina. Ale nie miej do niego żalu. To wielki lekarz, wielki kreator, tylko jak wszyscy tacy ludzie widzi ten świat zniekształcony przez swój nietypowy umysł.

— A więc mówił nieprawdę?

— Nie, to była tylko inna prawda, jego prawda. To, że komórki twego ciała, w ciągu twego życia dokonują kilkudziesięciu podziałów, a potem życie musi ustać, to także prawda, ale czy z tego powodu ludzie nie kochają, nie cieszą się światem? On rozmawiał z sobą samym, nie z tobą, Korn. To jego, a nie twój problem.

— A ja, co będzie ze mną?

— Zadajesz odwieczne pytanie ludzi. Nigdy wcześniej o tym nie myślałeś? Musiałeś myśleć, nie pamiętasz tylko tego.

A jednak pamiętał.

Widział ojca pochylonego nad biurkiem w ciepłym kręgu światła starożytnej żarówki, grzebiącego w papierach, które były jego pracą. Ojciec był historykiem i wiedział o dziwnych sprawach, które były już wtedy przeszłością, lecz jednocześnie j śnie trwały w pamięci starych ludzi. Był historykiem początku czasów atomu, atomowych stosów i eksperymentalnych chmur-grzybów, czasów niepokoju i nadziei. Gdy wszedł

wtedy do jego pokoju, za oknem była noc i zapach maciejki, a drzewa po drugiej stronie ulicy przesłaniały Księżyc, który wschodził. Przed ojcem leżał mały żółty skrawek papieru pokryty nierównymi znakami uderzeń starej, ręcznej jeszcze maszyny. Ojciec podniósł głowę i zobaczywszy jego wahanie powiedział:

„Chodź, przeczytaj”. Nie zrozumiał tego dziwnego wiersza, ale potem czytał go jeszcze wiele razy i pamiętał

do teraz, „O czym to jest?” — zapytał wtedy. —

„Przeczytaj głośno” — powiedział ojciec. Podniósł książkę i niepewnym, niezupełnie jeszcze męskim głosem zaczął czytać:

Czy nadejdzie zimą
gdy odwilż śnieg taje
czy wiosną
gdy jabłoń kwiatami się bieli
czy latem
gdy wieczór dnia ciepło oddaje
a może jesienią
gdy liść ziemię ścieli
I usta wypali
i oczy spopieli
żarem słońce bijąc
obłoki obieli
I pszczołę zatrzyma
i mrówkę osmali
I ludzi utleni
choć kiedyś się śmiali
ustami co były
krtaniami co były
płucami co są już popiołem
wśród żeber
które radiują jak kiedyś mówiły
skręcone i puste zwapniałym
studrzewem

A Słońce zostanie i chmury zostaną
i las wykielkuje, gdzie oni zmurszeli
i świerszcz się odezwie ukryty w murawie
i mutant zaskrzeczy w wieczornej kąpieli
o ludziach co byli
a potem minęli
o słońcach co błysły
a potem ustały
o domach co wznieśli a potem runęły
i gwiazdach co nocą na wszystko patrzyły,

„Nie rozumiem — powiedział, gdy skończył czytać. — To nieprawda”. „Tego nie było —
powiedział

ojciec. — Ale jest to prawda tamtych czasów”. „Nie rozumiem, po co się tym zajmujesz. To przecież
bez znaczenia” — powiedział z tą pewnością nadwiedzy nastolatka. — Teraz nie ma i nie będzie
takich problemów”. Ojciec spojrział na niego wtedy jakoś poważnie: „Mylisz się, mój drogi. Tylko
naiwni wyobrażają sobie to, co będzie, jako autostradę w przyszłość. Będzie to trudna, kręta droga,
ale i tak nią przejdziemy, i tylko to jest naprawdę ważne”.

Świadomość wróciła, gdy poczuł wstrząs. Pomyślał, że się przebudził. Czuł zmęczenie, jak po ciężkim dniu pracy i krótkiej drzemce, która nie jest prawdziwym wypoczynkiem. Przez chwilę zdawało mu się, że zdrzemnął się nocą w pociągu, który zatrzymał się na chwilę na małej ciemnej stacyjce, a to szarpnięcie i zgrzyt spowodował niewprawy maszynista ruszając w dalszą drogę. Potem, gdy spostrzegł już, że to nie jest pociąg, pomyślał, że to skojarzenie jest jakimś dalekim przypomnieniem podróży z dzieciństwa i wtedy dopiero uświadomił sobie, że przecież nigdy nie podróżował taką koleją. Może ojciec opowiadał mu kiedyś o takiej podróży. Nie zastanawiał się nad tym

dłużej, bo dojrzał w ekranie płytę lot, niska, a dalej góry. Pulpit sterowniczy otaczający go półkolem migotał światłami i czuł lekkie kołysanie kabiny na amortyzatorach, które przed chwilą dotknęły powierzchni lotniska.

— Strator zakończył lot — usłyszał głos gdzieś z wysokiego oparcia fotela tuż przy uchu. — Po otwarciu wjazdu należy przyciskiem w prawej poręczy fotela zwolnić blokadę i opuścić strator. Pilot automatyczny dziękuje za skorzystanie z jego usług. Zawsze jest na rozkazy — coś szcęknęło i lewa strona kabiny drgnęła.

Najpierw w szparze rozwarcia zobaczył promienie słońca, a gdy ściana opadając z wolna ruchem opuszczanego trapu doszła do położenia horyzontalnego, poczuł gorące powietrze wypierające chłodne, klimatyzowane z wnętrza kabiny. Z opadającej ściany wyodrębniły się schodki, a gdy dotknęły ziemi, nacisnął przycisk, tak jak to powiedział automat.

Wstał i mrużąc oczy zszedł na betonową powierzchnię płyty lotniska. Teraz dopiero poczuł naprawdę suche, gorące powietrze pustyni. Rozejrzał się. Za prostokątną płytą lotniska osmaloną gdzieś spalinami startujących rakiet stał odkryty terenowy łazik, a przy nim dwoje ludzi. Kobieta w białej sukience bez rękawów była wyższa od mężczyzny i przez chwilę pomyślał, że jest to Koma. Ale gdy zbliżał się do krawędzi płyty, wiedział już, że jest to obca kobieta, której nigdy przedtem nie widział. Mężczyzna palił

fajkę.

— Jestem Nort, Bert Nort — powiedział — a to moja żona Elsy.

Kobieta uśmiechnęła się i zobaczył jej duże białe zęby i ciemne oczy, w których nie było uśmiechu.

Mężczyzna uściśnął mu rękę i patrzył na niego uważnie z dołu jasnymi oczyma pozbawionymi prawie tęczywek.

— A ty jesteś Korn, nasz nowy manipulator.

— Manipulator?

— No tak, manipulator. Obejmujesz zakład naszego nieodżałowanego Tertona, czyż nie tak?

— Nie wiem... — odpowiedział po chwili i spostrzegł, że tamten przygląda się mu uważnie.

— Jak możesz nie wiedzieć? — zapytał w końcu. — Takie rzeczy się wie.

— Nie, Koma miała to wcześniej wyjaśnić u was.

— Koma, któż to znowu? — spostrzegł, że rozmowa denerwuje małego człowieka.

— Pewnie znowu jakaś personifikacja Opiekuna — powiedziała Elsy. — Teraz ciągle różni ludzie otrzymują personifikacje.

— Ciesz się, że ja jej nie mam.

— Wiesz, że to mnie nie obchodzi — Elsy powiedziała to spokojnie. — Już dawno mnie to nic nie obchodzi — dodała.

— Dobrze, już dobrze — Nort machnął ręką. — Takie przekomarzanie rodzinne — wyjaśnił patrząc na Korna. — A to, co mówisz, jest zupełnie możliwe. Od kilkunastu godzin nie mamy łączności z Opiekunem.

Łąca gdzieś wysiadły.

— To Komy nie ma... — powiedział Korn. „Nie rozumiem tego, o czym oni mówią — pomyślał Korn —

ale nie

mogę przecież zacząć mego pobytu tutaj, od tego, że nic nie wiem i niczego nie rozumiem”.

— Mówię ci. Łąca wysiadły. Nie jesteś jedyny — uśmiechnął się jakoś dziwnie — który głęboko to przeżywa.

— Jedźmy wreszcie — powiedziała Elsy. — Korn na pewno nie jest przyzwyczajony do tych temperatur i tęskni do kąpieli.

Wsiedli do łazika. Elsy siadła razem z Kornem na tylnym siedzeniu. Nort prowadził. Droga była prosta i równa — po prostu pas betonu położony, na piasku pustyni. Zaraz za lotniskiem wjechali w smugę długiego cienia rzucanego przez ostry szczyt góry, której nazwy Korn nie znał. Słońce zniknęło i widział

tylko czerwone niebo, czerwiejsze niż w jego czasach. Zaczynał się zmierzch, ten sam, który pozostawił za sobą, tysiące kilometrów na północ i wschód z instytutem, w którym on, Korn, przestał trwać. Poprzez niskie, ledwo słyszalne buczenie silnika innego niż silniki w jego czasach słyszał cykady i czuł na twarzy gorący podmuch powietrza i zapach szaławii.

— Terton lubił te strony — powiedziała Elsy. — Ty może także je polubisz.

— Terton lubił swoją pracę — powiedział Nort. — Był najlepszym manipulatorem, jakiego znalazłem.

— Terton to ten, który umarł?

— Twój poprzednik — wyjaśnił Nort. — Miał wypadek w starej pracowni... Widocznie zabezpieczenia nie były dostateczne.

— Ja obejmuję po nim pracownię?

— Tak. Do tego czasu była zamknięta, opieczętowana.

Przez pół roku nie mogli znaleźć nikogo na jego miejsce. Dopiero ty...

— Ja nie znam się na tym. Wy tego nie wiecie, nie możecie wiedzieć, ale to chyba pomyłka. Ja nie jestem manipulatorem.

— Nie żartuj. Przysłany tu zostałeś specjalną decyzją Opiekuna. On się nie myli.

Korn nie odpowiedział. Patrzył w mrok pustyni, w którym zniknęły już barwy. Nort włączył długie światła łazika. Przez szybę widział jasny pas betonu i piasek na poboczach.

— Spójrz na te światła, tam, na prawo. To już nasz instytut — powiedziała Elsy.

Wtedy Nort zahamował. Korn schwycił oparcie siedzenia przed sobą. Czuł swój ciężar i widział Elsy przygniecioną do siedzenia Norta.

— Co się stało? — zapytała, gdy łazik już stanął.

— Chyba jeszcze jeden z czwartego pawilonu — powiedział Nort stojąc już na betonie.

Korn wyskoczył z łazika i patrzył na ciemny kształt leżący na drodze, nad którym zatrzymał się Nort. To było zwierzę. Podszedł bliżej. W świetle reflektorów wyglądało jak średniej wielkości kot, tylko zamiast sierści miało kilkucentymetrowej długości igły, w których błyskało odbite światło.

— Trzeba je zabrać — powiedziała Elsy.

— Nie warto. Nie wyżyje — Nort dotknął nogą kolców, które zachrzęściły metalicznie. — W dzień tutaj ma jeszcze pewne szanse, ale teraz, kiedy temperatura się obniżyła... — poruszył zwierzę nogą i wtedy Korn zobaczył, że łapy zwierzęcia drgnęły.

— Co to jest? — zapytał.

— CM-3. Innej nazwy nie ma. Genetycznie daleki potomek kota.

— A te kolce?

— Służą do wypromieniowywania nadmiaru ciepła. W sumie niezbyt udana konstrukcja. Praktycznie

nieużyteczna, bo nie wytrzymała nocnych temperatur pustyni. Mieliśmy jeszcze kilka do dalszych doświadczeń, ale słyszałem, że dziś rano przez jakieś niedopatrzenie uciekły z klatek. Po wszystkich eksperymentach, to im zostaje. Pragną swobody i... giną. Butem zepchnął zwierzę na pobocze drogi.

Nasze sępy będą miały przykrą niespodziankę — powiedział. — Nie są przyzwyczajone do takich twórców ewolucji.

Ruszyli. Zwierzę błysnęło raz jeszcze w świetle reflektorów, gdy je mijali.

— Pamiętam — powiedział Korn — projekt zwalczania małych gryzoni pustynnych.

— No właśnie — powiedział Nort — ale... skąd ty to wiesz? — dodał po chwili.

„Właśnie, skąd ja to wiem?” — pomyślał Korn i daremnie szukał tej informacji w swojej pamięci.

— Pewnie mu ktoś powiedział tam na północy — powiedziała Elsy. — Wy przecież o niczym innym nie mówicie, tylko o tych swoich eksperymentach.

— Niemożliwe. To mały eksperyment, o którym do dzisiaj nawet u nas nie wszyscy wiedzieli.

— Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam — powiedział

Korn i czuł się źle, bo wiedział, że tamten mu nie wierzy.

— Ciekawe — powtórzył Nort i nie odzywał się już do końca drogi.

Budynek, przed którym stanęli, przypominał betonowe bunkry, które Korn zwiedzał kiedyś jeszcze ze swoim ojcem. Ojciec mówił, że tamte bunkry pochodzą z wojny. Ta wojna była jeszcze przed urodzeniem ojca, ale Korn wiedział o niej dużo, bo często rozmawiał o tym z ojcem, w tych czasach, gdy był chłopcem, a wtedy pamięta się wszystko, co mówi ojciec. Pamiętał, że po niej rozpoczęła się epoka atomowa, a sama wojna była bezwzględna i brutalna jak ewolucja i tak jak w procesie ewolucji szło o sprawy ostateczne: życie i rozwój. Potem nie widywał bunkrów, bo w jego czasach budowano domy wzwyż, a nie wkopywano je w ziemię. Tutaj w potężnych ścianach, lekko odchylonych od pionu, wybito szerokie okna, a za oknami było światło.

— Tutaj będę mieszkał? — zapytał.

— Przynajmniej chwilowo. Dostajesz pokój Tertona. W głąb idą laboratoria. To bardzo stare budowle, ale tylko zewnątrz. Na górze są pokoje mieszkalne w starym stylu, niezbyt wygodne. Widzisz — Nort zawahał się — pod pewnymi względami Terton był dziwakiem. Chciał mieszkać tutaj i tutaj jest jego archiwum.

— Ale przecież....

— Powiedz mu to wprost, Bert — przerwała Elsy.

— Dobrze. Terton prosił, by dopiero jego następca przeniósł archiwum i notatki. On, wiesz, czasem jeszcze

notował piórem. To był oryginał.

— Jak to, życzył sobie?

— Podkreślał to kilkakrotnie w rozmowie. Ja wiem, że to nie ma sensu i jak chcesz, umieszczę cię w pokojach gościnnych, a jutro każę przerzucić archiwum do normalnego pawilonu.

— Bert, przecież ustaliliśmy...

— Niech decyduje Korn. Nie można przecież nikogo zmuszać, by mieszkał w czymś takim.

Korn spojrzał na Elsy.

— Dobrze, zostanę tu przez kilka dni — powiedział. — Potem zobaczymy.

Gdy został sam, rozejrzał się po pokoju. Patrzył chwilę na zwykłe dwudziestowieczne drzwi z zawiasami, jakie czasem ogląda się w stereowizji, duże dębowe biurko, zapewne jeszcze starszy wielki fotel pokryty przetartą gdzieś, spękaną skórą. Inne sprzęty były zwyczajne: stereowizor, dostępnik mnemotronów z wielkim szarym ekranem odczytu i konwersator Opiekuna z zagłębieniem, które dotyka się zliczem. Miał dziwne uczucie, że zna te sprzęty i wiedział, że za małymi rozsuwanymi drzwiami jest niewielka sypialnia z wielkim tapczanem i kolorową poduszką wyszywaną w smoki, której pochodzenie powinien pamiętać. Informacja ta była gdzieś na krawędzi jego pamięci, ale gdy skupiał się, by ją wydobyć, rozplątywała się i już nawet nie był pewny, czy kiedykolwiek była tam ukryta. Stanął przed drzwiami, a gdy wyczuwszy jego obecność rozsunęły się, zobaczył tapczan, poduszkę i hełm wychodzący na grubym sprężynującym uchwycie ze ściany. „Tego hełmu nie było tutaj” — pomyślał, a potem dopiero uświadomił sobie, że myśl ta jest absurdalna u niego, który trwał, gdy pokój ten zajmował Terton.

Łazienka była dalej. Szarpnął bluzę, która rozeszła się wzdłuż niewidocznego szwu. Nie mógł się ciągle jeszcze przyzwyczaić do tego i pomyślał, że koszula noszona przez niego pół wieku temu, bardziej mu odpowiadała. Myślał już o prysznicu, gdy głośnik umieszczony gdzieś pod sufitem zabrzączał cicho.

— Czy mogę zajść do ciebie na chwilę?

Spojrzał w ekran interwizora i zobaczył twarz Elsy.

— Teraz?

— Tak.

— Proszę.

Narzucił bluzę, przeszedł do gabinetu i otworzył drzwi. Weszła i rozejrzała się po gabinecie.

— Zmienisz tu pewnie wszystko? — zapytała.

— Nie wiem. Chyba nie. Nie zastanawiałem się nad tym.

— On lubił ten pokój. Pracował wieczorami tutaj, nie w laboratorium — usiadła na jednym z dwu nowoczesnych wygodnych foteli, które wraz z małym stolikiem stały pod ścianą. — Przynieś mi mleko —

poprosiła.

Gdy wrócił ze szklanką mleka, stała przy biurku.

— Czy nie znalazłeś żadnych jego papierów, notatek? — zapytała. Mówiłam ci, że on notował czasem na papierze?

— Nie.

— Widocznie zabrali je stąd po jego śmierci. Bert mi

nic nie powiedział, ale on mi nigdy nic nie mówi.

— Jeśli coś znajdę, złożę ci telewizytę — powiedział Korn.

— Nie, lepiej nie. Przyjdę jeszcze tutaj albo zajrzę do ciebie do laboratorium.

Korn myślał, że Elsy teraz już wyjdzie, ale ona ze szklanką mleka wróciła na fotel.

— Widzisz, Terton to był ktoś. Chyba jedyny prawdziwy uczonec w tym całym instytucie.

— Słyszałem.

— Nie tylko uczonec... Nie używał fantotronu. Uważał, że człowiek powinien żyć tylko naprawdę. Dziwi cię to jak wszystkich — dodała, bo Korn milczał. Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem dopiła szklankę mleka. — Chciałam, abyś przynajmniej ty, przejmując po nim badania, wszystko to, co było dla niego najważniejsze, nie uważał go... a zresztą, ty i tak tego nie zrozumiesz.

— Nie zrozumiałem?

— Nie. Młody manipulator przysłany tu specjalnym zleceniem Opiekuna. Wyobrażam sobie, ile testów musiałeś przejść, zanim cię wybrano. Wszystkich nietypowych, którzy nie używają fantotronów i w ogóle nie mieszczą się w przewidzianym z góry zakresie zwyczajności, odrzuca się na wstępie. Terton zawsze mówił, że tutaj potrzebni są ludzie o ograniczonej wyobraźni, którzy myślą dokładnie o tym, co robią. Inni tu nie wytrzymują.

— A Terton?

— On był niezastępowalny. Talent, wiedza, doświadczenie. Po prostu nie było innego profesora,

innego manipulatora, który mógłby robić to wszystko, co on. A teraz jesteś ty. Zanim przyleciałeś, wyobrażałam sobie ciebie inaczej.

— Dlaczego?

— Po tej informacji Opiekuna. Człowiek sztucznie regenerowany z wpisaną wstępnie informacją.

— O czym ty mówisz?

— O tobie. Spodziewałam się kogoś, kto przypomina automat, ale ty... Ty jesteś taki jak inni. Dlatego tu przyszedł.

Milczał. Czuł tylko swoje tętno i mdłą falę ciepła napływającą gdzieś od żołądka. Coś musiało się dzieć z jego twarzą, bo spostrzegł, że Elsy głębiej wcisnęła się w fotel.

— Ty... ty nie wiedziałaś...?

— Wyjdź stąd. Wyjdź, natychmiast! — powiedział.

Pomyślał, że głos jego jest inny niż zazwyczaj.

Elsy wstała, okrążyła jego krzesło i była już przy drzwiach.

— Korn, ja nie wiedziałam, nie chciałam... Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

— Wyjdź! — powtórzył.

Słyszał tylko trzaśnięcie drzwi, które w historycznych sztukach w stereo zamyka zazwyczaj jedną scenę, ale tutaj wszystko trwało dalej i widział groteskowo wykrzywione wewnątrz pokoju odbijające się w metalowych poręczach fotela.

Więc Koma oszukała go. Nic mu nie powiedziała, że ma pamięć zmodyfikowaną. Ale co to znaczy?

Może to, że jego mózg odbiera kształty, dźwięki, barwy, które nie mogą znaleźć rezonansu w zatartych zabiegami wspomnieniach. Że błędnie rozpoznaje świat, nie wie o tym i nie może wiedzieć. Że jest inny od innych, tak bardzo różny, że na zawsze pozostanie takim.

Gdy się obudził, tam w instytucie, myślał o kosmonautach, gwiazdach i bulionie. A o swoim mieszkaniu na szesnastym piętrze wieżowca, Kar — swojej żonie, której obecność w mieszkaniu czuł nawet wtedy, gdy jej nie było, swoich książkach napisanych jeszcze przed jego urodzeniem i samolotach widocznych z jego okna, lądujących w czarnej chmurze spalin gdzieś na niewidocznym lotnisku, o tym wszystkim nie myślał

prawie. A przecież to wszystko już nie istniało poza jego wspomnieniem. Pamiętał każdy szczegół: śmiesznego pluszowego kota na półce nad tapczanem, wysokoobrotowy mikser, którego wysoki dźwięk słyszał zawsze w sobotę po południu, gdy Kar przygotowywała niedzielny sernik, i dźwięk starego zegara wybijającego godziny także w nocy, gdy się budził i czuł, że jest sam, tak sam, jak

tylko może być człowiek.

Wtedy uchylał zasłonę i patrzył na dalekie mrugające światła lotniska. W instytucie, gdy przestał trwać, nie odczuwał tego nigdy. „Człowiek regenerowany z wstępnie wpisaną informacją” — tak powiedziała Elsy.

Popchnięty fotel odjechał pod ścianę i uderzył w nią z głuchym łoskotem. Otworzył drzwi, przebiegł korytarzem, minął światła zawieszane u wejścia i wszedł w noc. Był Księżyc, gwiazdy i znad pustyni wiało chłodem. Chwilę

biegł betonem szosy, jaśniejszym szarym pasem, a potem skręcił w pustynię. Zwolnił, bo jego stopy grzęzły w piasku, ale biegł dalej i nie odczuwał zmęczenia. Nawet rytm oddechu przyspieszył się tylko nieznacznie.

„Pracuje jak sprawny automat” — pomyślał i wtedy przestał biec. Szedł dalej, aż zobaczył wielkie wieloramienne kaktusy rosnące samotnie, z dala od siebie, nieruchome bezruchem skał, a nie roślin. Na piasku był ich ledwo widoczny cień. Nagle usłyszał głos:

— ...to dobrze, że ciebie spotkałam. Jeszcze wczoraj myślałam, że nie wytrzymam tu ani dnia więcej, w tym słońcu i piasku — to mówiła dziewczyna, powoli, jakby mówienie sprawiało jej trudność. Mężczyzna odpowiedział szeptem i dlatego Korn nie dosłyszał odpowiedzi.

— Wiesz, te łodzie i drzewa nad sztucznym jeziorem, to wszystko jest fałszywe jak w fantotronie, bo jak spojrzysz w niebo, widzisz sępy. A na brzegach jeziora nie ma nawet trzciny, tylko piasek. Tu wszystko jest sztuczne jak te zwierzęta w pawilonach. Mężczyzna znowu coś powiedział.

— ...wiem, że nie lubisz o tym mówić. Teraz nie ma to znaczenia...

Korn odszedł stąpając uważnie, żeby piach zbyt głośno nie chrzęścił pod jego butami. Księżyc zniżył się i Korn patrząc w pustynię widział teraz wyraźnie szczyty gór. Piasku było coraz mniej, a po następnych kilku minutach marszu zobaczył zeschnięte łodygi roślin, a dalej jakieś budynki. Chciał je obejść, ale usłyszał za sobą ciężkie kroki i stanął. Ktoś szedł wprost ku niemu przez chwasty, dosłyszał trzaskanie suchych łodyg pod butami tamtego. Wreszcie go zobaczył: wielki człekokształtny cień.

Tamten zatrzymał się o krok od niego. To był android, człekokształtny automat. Nie spotkał nigdy dotąd takiego automatu, ale widywał je w ekranach podczas swego procesu adaptacyjnego. „Są silne, pomocne i niegroźne — pamiętał głos Komy. — Zawsze wypełniają polecenia człowieka, a ich pseudopsychika jest wy-mieniana zależnie od zadań, którym służą”.

— Tutaj nie wolno chodzić — powiedział android głosem nieco schrypniętego mężczyzny.

— Dlaczego? — Korn postąpił krok ku automatowi.

— Izolowane pawilony. Nie wolno chodzić! — powtórzył tamten.

— Ja tu pracuję — powiedział Korn i równocześnie pomyślał, że tłumaczy się przed automatem. „O tym Koma nic nie mówiła”.

— Wejście z drugiej strony. Tu chodzić nie wolno — powtórzył automat raz jeszcze.

Korn wzruszył ramionami i chciał go wyminąć. Android z szybkością, o jaką Korn nigdy by nie podejrzewał to potężne urządzenie, zastąpił mu drogę.

— Przepuść mnie — powiedział Korn.

— Tutaj nie wolno... — zaczął znowu automat. W jego monotonnym schrypniętym głosie Korn odczuł drwinę.

— Przepuść! Jestem człowiekiem! Automat nie poruszył się.

— ...człowiekiem! Słyszysz! — dotknął płyty, którą

pokryty był korpus automatu i pod palcami wyczuł uchwyt.

— Nie mogę cię usłyszeć — powiedział automat. — Tutaj chodzić nie wolno.

— Zmieniam polecenie — powiedział Korn, tak jak go uczyła Koma. — Odejdź.

— Polecenie niewymazywalne — poinformował go automat.

Korn zacisnął palce na uchwycie płyty.

— Odejdź — powiedział szeptem.

— Przez ciebie polecenie niewymazywalne — powtórzył raz jeszcze automat.

— Przeze mnie nie... Myślisz, że tylko ludzie, że tacy jak ja nie mogą... — szarpnął płytę.

Android zachwiał się lekko, ale płyta nie ustąpiła. Gdzieś w ciemnych dotąd pawilonach rozbłysło światło i słyszał nawoływania. Szarpnął raz jeszcze. Płyta wygięła się i z chrzęstem się rozwarła. Android cofnął się o krok. Korn zobaczył chwytник z rozwartymi metalowymi palcami zbliżający się do jego ręki.

Chciał cofnąć rękę, lecz metalowe palce objęły już jego przegub. Oczekiwał bólu, ale czujniki metalowych palców wyczuwszy ciepło jego ciała rozwarły się i cofnęły.

— Widzisz, że jestem człowiekiem — powiedział Korn. — Ręce mam jak człowiek. Teraz mnie przepuścisz. Odejdź!

— Przez ciebie polecenie niewymazywalne...

— Ach ty... — Korn natarł na automat całym ciałem. Android zachwiał się i łamiąc łodygi roślin

upadł.

Chciał się podnieść i szybkim ruchem podciągnął swe chwytaki, ale Korn dostrzegł ciemny otwór w jego korpusie i uderzył

tam nogą. Usłyszał chrzęst kryształów, pod podeszwą jego buta rozbłysły błękitne iskry wyładowań i android znieruchomiał. Słyszał kroki nadchodzących. Ktoś oświetlał Korna reflektorem.

— Zniszczyłeś automat — mówił ktoś spoza światła reflektora. Świecił mu wprost w twarz. Korn nie widział niczego poza jasnymi kręgiem. — Dlaczego go zniszczyłeś? — zapytał.

— Nie chciał mnie przepuścić.

— Oczywiście, nie mógł cię przepuścić.

— Ale ja zmieniłem mu polecenie.

— I dlatego go zniszczyłeś — mężczyzna zza reflektora śmiał się. — Skąd jesteś? — zapytał.

— Jestem nowym manipulatorem.

— Przepraszam cię — reflektor zgasł. — Czy nic ci się nie stało? — Mężczyzna podszedł do niego.

— Nie.

— Jestem Gotan, z drugiej pracowni. On chyba cię nie zaatakował?

— Nie.

— To się w praktyce nie zdarza, ale zawsze jest możliwe. Odejdźcie i zabierzcie go — powiedział głośnie.

Korn zobaczył dwa androidy. Podeszły, uchwyciły leżący automat za korpus i uniosły w górę.

— Jak się czujesz? — zapytał Gotan po chwili wahania.

— Świetnie. To... to głupie nieporozumienie.

— Są sztywno programowane — powiedział Gotan. — Niektóre z naszych tworów bywają niebezpieczne, na przykład te, w tym pawilonie. Dlaczego mu nie powiedziałeś, że jesteś manipulatorem. Na pewno ma twoją identyfikację i przepuściłby cię natychmiast.

— Zapomniałem — cicho powiedział Kora.

— Odprowadzić cię? — zapytał tamten.

— Jak chcesz. Mieszkam tam, gdzie Terton.

— Pójdę z tobą — powiedział Gotan. — Zszedłeś z drogi i nocą trudno ci będzie trafić. Kiedy przyleciałeś?

— Dzisiaj.

— Nort wspomniał nam o tobie. Jesteś uczniem Tertona?

— Nie — powiedział Korn — nigdy nie widziałem Tertona. „Wszyscy tu mówią o Tertonie — pomyślał

równocześnie. — Widzą we mnie ucznia, wychowanka, kontynuatora jego dzieła, a ja jestem tylko debiutantem. Znam jedynie jego mieszkanie i to znam podejrzanie dobrze”.

— Profesor Terton — powiedział Gotan — to był fachowiec! Ale szczerze mówiąc, trochę dziwny. Mieszkał

tylko różnych spraw do tego, co robimy, że w końcu nie bardzo wiadomo było, o co mu chodzi. Wyłączył

nadsystem z planowanych doświadczeń i zaczął nim analizować radiowy nasłuch Kosmosu; jakieś przedziwne przekształcenie i modyfikacja tego szumu. Miał na to zgodę Opiekuna, a więc i Rady Światowej. Musiał mieć. Ale zatrzymał prace w pawilonie zero... na dobre zatrzymał. Nawet po jego śmierci nic tam nie zrobiono. Obiekty się starzeją, a doświadczenia stoją. Potem, gdy przekroczą drugi rok życia, wszystko trzeba zaczynać od nowa. Mówię ci, Korn, neuronicy klną albo nie wychodzą z fantotronów. Nort oczekiwał

cię z tygodnia na tydzień. Będziesz dalej słuchał Kosmosu? To był chyba pomysł tamtych z Centrum Nasłuchu zza jeziora.

— Możliwe. Nie wiem tylko, czy potrafię?

— Nie bądź skromny. Tu w naszym zespole takich nie ma — zaśmiał się. — Sami geniusze, przy czym większość absolutnie niedoceniana. Gdyby nie fantotrony trudno by było z nimi wytrzymać. Zaczynasz od jutra?

— Zapewne.

— O tym automacie nie będę chyba mówił, co? Zgłosimy zwykłą awarię...

— Jak chcesz.

— Myślę, że to dla ciebie nie ma znaczenia. Jak ktoś jest manipulatorem tej klasy, Opiekun i tak mu tego nie zapamięta. Ja wiem — powiedział nagle inaczej — to wszystko przez tę pustynię i wiatr. Jak wieje czasem trzy dni, zamordowałbyś własną matkę. Zawsze wtedy wybieram się w tajgę. Sam, bez żadnej dziewczyny. Wiesz, urodziłem się w tajdze.

— Odlatujesz stąd?

— Żartujesz. Fantotronem? Nawet nie poluję. Znajduję sobie miejsce, gdzieś na wysokim brzegu nad rzeką. Leżę w słońcu, pounoszę się trochę nad wodą, popatrzę na ryby i wracam. Potem przez dwa dni jestem innym człowiekiem.

Gotan zatrzymał się.

— To już bunkier Tertona. Twój pawilon, chciałem powiedzieć — wskazał ręką oświetlone wejście. Jak jutro będziesz miał czas, zajrzyj do mojej, pracowni.

— Przyjdę, jak będę miał czas — powiedział Korn.

Uścisnął dłoń Gotana. Zanim wszedł w krąg światła spojrzął na góry. Nie widział ich, bo Księżyc już zaszedł. O błękitną lampę jarzącą się nad wejściem uderzały ćmy.

IV

Był na ulicy swego miasta. Szedł szybkim krokiem. W rękę niósł małą, czarną, podręczną torbę. Minął

Aleje Świerków nie czekając na zielone światło, bo ruchu nigdy tu nie było. Dzieci bawiły się na chodnikach i słyszał świergot ptaków w żywopłotach. Drzewa miały już liście i rzucały długie cienie na trawniki przed piętrowymi domkami starej dzielnicy. Nad ich dachami widział szare ściany wieżowców. Tam mieszkał. Na werandzie jednego z domków zobaczył na fotelu starą kobietę owiniętą w koc. Przymknęła oczy i grzała się w słońcu. Widział ją zawsze wracając z pracy w słoneczne, letnie popołudnia i zdziwił się trochę, że jeszcze żyje i wygląda tak samo, jak zawsze.

Potem przeszedł wzdłuż niskich pawilonów sklepowych, minął betonowe zjazdy do podziemnych garaży i był przed swoim domem. Odruchowo sięgnął do kieszeni, odczuł przez moment niepokój, ale klucze były na swoim miejscu, więc wyjął je i otworzył wielkie szklane drzwi. Chwilę czekał na windę. Obok niego stanął mężczyzna, którego chyba znał, ale nie na tyle, by powiedzieć mu dzień dobry. Kiedy winda nadjechała, weszli do niej obaj. Mężczyzna wysiadł na dziewiątym piętrze, Korn pojechał na szesnaste.

Gdy wysiadł i drzwi windy zawarły się za nim, poczuł lekki niepokój. Podeszedł do swoich drzwi, przekręcił klucz i gdy był w przedpokoju, poczuł zapach obiadu. Kar była w kuchni, więc postawił swoją torbę w przedpokoju i zajrzał tam. Stała odwrócona tyłem pochylona nad stołem. Przez okno świeciło słońce i widział tylko jej sylwetkę i podświetlone włosy.

— Jesteś już — powiedziała i odwróciła się poprawiając włosy. Znał ten jej ruch, ale było w nim coś nowego, czego nie potrafił określić.

— Kar — powiedział.

Podeszedł do niej i spojrzał jej w twarz. To nie była Kar.

— Koma, skąd ty tutaj?

Pocałowała go.

— Przecież mieszkamy tutaj, Stef.

— My... oboje?

— Tak.

— Ale Kar, ona tutaj mieszkała?

— Nie jestem podobna do niej? Przyjrzyj mi się —

przesunęła go ku oknu, tak że teraz widział ją w pełnym świetle słońca.

— Jesteś do niej podobna — zgodził się — ale ty jesteś Koma.

— Kar zmieniła się przez te lata, ale jestem trochę nią, może bardziej nawet, niż przypuszczasz.

Dlaczego mnie nie poznajesz, Stef?

— I jesteś tutaj naprawdę?

— Jestem.

— A Kar?

— Nie ma innej Kar. Teraz nazywam się Koma.

Patrzył na nią. Ona przytuliła się do niego na chwilę.

— Zaraz będzie obiad — powiedziała.

— Obiad?

— No tak. Przecież zawsze jemy obiad w domu.

Nie zwracała już na niego uwagi, pochylona nad stołem, zajęta przygotowaniami. Chwilę stał niezdecydowany. To wszystko było takie, jak pamiętał, a równocześnie nieuchwytnie inne. Na przykład piecyk, mikrofalowy piecyk do podgrzewania potraw nie miał uchwyty wyłożonego korkiem, uchwyty, który sam kiedyś zrobił i dlatego pamiętał to tak dobrze. Lecz gdy spojrział na piecyk powtórnie, korkowa rączka była już na swoim miejscu. Wycofał się do korytarza i przez uchylone drzwi zajrzał do swego gabinetu. Tutaj nic się nie zmieniło. Biurko, fotel, stary globus Księżyca z zaznaczonymi miejscami pierwszych lądowań zeszłowiecznych kosmonautów, który odziedziczył po ojcu, i książki... długie szeregi różnokolorowych okładek. Tutaj wszystko się zgadzało.

Pamiętał każdy szczegół w tym pokoju. Usiadł za biurkiem, wyciągnął nogi i poczuł jak oparcie fotela dostosowuje się do kształtu jego pleców. Znieruchomiał. Przecież fotel był stary, także ubiegłowieczny — po prostu zwykły drewniany mebel, których jeszcze setki przetrwały początek epoki automatyzacji. Spróbował

raz jeszcze, ale tym razem fotel był już sztywny i twardy, taki jak zawsze. Chwilę siedział nieruchomo, a potem jednym ruchem odsunawszy fotel przeszedł do kuchni. Idąc starał się odtworzyć w pamięci rysy Kar, jej włosy, uśmiech. Ale pamiętał tylko twarz Komy i nic na to nie mógł poradzić. Wiedział już, że w kuchni zobaczy Komę. Przed chwilą jeszcze chciał widzieć Kar, ale gdy był już w kuchni, nie pamiętał o tym.

— Chciałeś coś? — zapytała Koma.

— Nie, nic... — patrzył na nią chwilę, a gdy wrócił do gabinetu był szczęśliwy, że Koma jest obok i

że słyszy jej głos. A potem w nocy, gdy patrzył na mrugające w dali światła lotniska i słyszał pomruk przelatujących w górze samolotów, wiedział, że nie jest sam i także był szczęśliwy.

Obudziła go rano. Pochylała się nad nim owinięta w fioletowy zwój materiału, który, gdy uświadomił to sobie i rozpoznał, przybrał kształt głęboko wyciętej sukienki kupionej przez niego kiedyś, przed ślubem jeszcze. Zdziwił się, że ją jeszcze ma, po tylu latach, ale nie zastanawiał się nad tym dłużej. Pachniała kawa.

— Śniadanie gotowe, Stef — powiedziała Kar. — Zaspaleś dzisiaj.

— Która godzina?

— Minęła ósma i czas na ciebie.

— A ty, dlaczego jeszcze jesteś w domu?

— A gdzie mam być?

— Jak to? W pracy.

— Ja nie pracuję, Stef. Wtedy, kiedy mogę, jestem zawsze z tobą.

— Rozumiem, ty już nie jesteś ta sama. Ty jesteś tą drugą, Komą.

— Jestem Koma, to wszystko. A kawa ci wystygnie.

Potem już po śniadaniu powiedziała:

— Czas już na ciebie, Stef. Oni czekają.

— Kto?

— Twój zespół. Czekali na ciebie tyle miesięcy. Nie możesz się spóźnić.

— Powinienem już iść?

— Tak. Będę czekała na ciebie, gdy wrócisz.

Jej twarz zafalowała, rozmyła się, tak samo jak półki z książkami w jego pokoju, stary zegar i wszystko, na co patrzył.

Leżał teraz na tapczanie Tertona, przez szparę w zasłonach świeciło ostre słońce pustyni i cicho szumiały klimatery tłoczące chłodne, czyste powietrze. Hełm nad jego głową kołysał się wahadłowym ruchem.

Ekran wideo rozbłysł.

— Czekamy na ciebie, Korn — w ekranie widział teraz Nortę.

— Dobrze. Już idę — powiedział Korn. Nie był głodny i w ustach czuł jeszcze smak kawy.

Przeszedł korytarzem wykutym kiedyś w skale do wind i dotknął przycisk wezwania.

— Dotykaj przycisk zliczem — powiedział chropawy głos automatu.

— Zapomniałem.

— Nie rozumiem, jestem specjalizowany. Dotykaj przycisk zliczem — powtórzył.

Wykonał to i drzwi windy rozwarły się. Na tych drzwiach kończył się antyczny świat starego bunkra.

Winda była już z nowej epoki. Wszedł do niej i poczuł zmianę swego ciężaru, gdy ruszyła w dół. Opadanie trwało minutę, może dłużej, aż winda stanęła. Korn uświadomił sobie, ileś metrów skał jest już ponad nim. Winda rozwarła się i wypchnęła go w korytarz, który uniósł go elastycznie podpierając miękkimi wybrzuszeniami, aż wyrzucił do błyszczącego bąbla, który rozdał się do wymiarów wielkiej sali, gdy Korn doń wniknął. Pośrodku bąbla stał Nort.

— Długo czekałem na ciebie — powiedział tamten. — Jak ci minęła ta pierwsza noc na naszej pustyni?

Korn chciał mu powiedzieć, że ta pierwsza noc to jego sprawa i tamtego nic nie obchodzi, ale pomyślał, że nie po to tu przyszedł, by mówić takie rzeczy Nortowi.

— Co dalej? — zapytał tylko.

— Będę cię ubezpieczał, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to zwykle zawracanie głowy. Gdybyś się nawet rozpuszczał w gleju i tak tam nie wejdziesz. Mogę najwyżej wołać Opiekuna.

— Dlaczego nie wejdiesz?

— Wejście nie przepuści mnie. Dalej może wejść tylko manipulator.

— A automaty?

— No tak, automaty także. Ale one są już tam i nigdy nie wychodzą.

— Więc co mam robić? Podać zlicz?

— Nie żartuj. To już nie jest zewnętrzna arena. Tu rozpoznaje cię on po głosie i kodzie zawartym w białkach twoich komórek. Nikt inny oprócz ciebie tam nie wejdzie.

— Ale co mam zrobić? — Korn nie wiedział, jak wytłumaczyć temu człowiekowi, że nie umie przejść dalej. — Jak mam się tam dostać? — zapytał w końcu.

— Nie rozumiem cię, Korn — powiedział Nort. — Po prostu przejdź przez ścianę. No, śmiało — dodał, gdy Korn zrobił kilka kroków i zawahał się przed błyszczącą ścianą bąbla. — Wejdziesz w nią.

Korn zrobił krok i ściana się rozwarła. Był w wielkim półkolistym tunelu, który rozszerzał się i zwężał

jak tętnica pod naporem krwi. Poczł lekkie uderzenie w plecy i został uniesiony w przód jakby delikatnym podmuchem. Patrzył teraz na ściany tunelu, po których przelatywały z niewiarygodną szybkością szare cienie, które, gdyby je zatrzymać, przybrałyby może formę kształtów. Korytarz wypuł go w elipsoidalną grołę rozjaśnioną białym rozproszonym światłem, pośrodku której stał pulpit sterujący z fotelem.

„Ten pulpit i fotel wyglądają, jakby przywiezione tu z muzeum i wstawione jak dekoracja w scenę”

pomyślał Korn.

W tym otoczeniu bezkanciastych korytarzy, ruchu barw i cieni te znane mu przedmioty wyglądały dziwnie i antycznie.

Potem siedział już przed pulpitem sterującym, patrzył na postrzępione linie wyładowań w ekranach i rzędy białych klawiszy stymulatorów. Nagle zrozumiał, że zna je wszystkie tak dobrze, jak poduszkę wyszywaną w smoki, a przeznaczenie ich pamięta tak dokładnie, jakby wrócił tu po krótkiej przerwie na obiad. A przecież wiedział, że nie był tu nigdy.

Czekał na moment, gdy linie w ekranach zatracą charakter przypadkowych wyładowań i zbiegną się w powolne falowania, które ktoś kiedyś porównał do rytmu alfa. Fotel obejmował go miękkim, delikatnym ujęciem swych oparc, a gdy przyciskał klawisz fonii, słyszał wszechobecny, szum przetwarzanych na dźwięki napięć, tych samych, które rysowały krzywe w ekranach. Chwilami zdawało mu się, że jest w wielkim uschlým lesie, a koronami drzew nadchodzi wiatr. Widział kiedyś w dzieciństwie taki las, a dalej drzewa nie miały już liści i była cisza, a jeszcze dalej dymiły kominy.

Czekał i wiedział, że ta chwila może nadejść za minutę lub za godzinę, gdy nadsystem złożony z bilionów neuroidów odnajdzie rytm zgodny z jego własnym. Wtedy powstanie w jego mózgu coś, co jest zwiększoną świadomością i trwać będzie przez chwilę, zanim nadsystem nie odrzuci go rozpadając się na wiele zakłócających się wzajemnie rytmów.

Eksperyment trwał. Linie w ekranach drgały, a on niezawodnie, z precyzją ruchów, której źródła nie pojmował, sterował procesem znanym mu dobrze, jakby z tą wiedzą urodził się i posiadał ją w sposób równie naturalny, jak odruch zwierający na moment powieki. Nie musiał

nawet skupiać swej uwagi na procesie i sterował nim wprawnie, bez wysiłku.

Myślał właśnie o tym, jak pojedzie z Komą w upalny dzień do sosnowego lasu, będzie patrzył w obłoki ponad wierzchołkami drzew i wdychał ostry zapach rozgrzanej żywicy, gdy nagle przypadkowe rozbłyski w ekranie ustały, główna linia rytmu pogrubiała się i sfalowała w sposób, o którym wiedział, że rozkład jej na szereg harmoniczných byłby skończony.

Odruchowo przysunął fotel bliżej ekranów i nieświadomym ruchem włączył zapis eksperymentu

i liczniki „liczące wstecz”, odliczające czas, po którym, bez względu na dalsze okoliczności, eksperyment zostanie automatycznie przerwany. Było to zabezpieczenie i gdzieś na dnie świadomości pamiętał, że sam je wprowadził wbrew zdaniu tych wszystkich, którzy twierdzili, że czas udziału w nadświadomym systemie jest ograniczony i system samorzutnie po określonym czasie musi go odrzucić. Szum w głośnikach ustał i słyszał teraz tylko z lekka zniekształcony ton częstotliwości podstawowej, o zmieniającym się okresowo natężeniu.

Białkowy, neuroidalny glej ograniczony ścianami kanałów był tworem więcej niż myślącym, był tworem nadświadomym, lecz pozbawionym zmysłów, jakiegokolwiek dopływu informacji, trwał w tym niewyobrażalnym dla człowieka stanie, nieporównywalnym nawet ze stanem wyizolowanego mózgu noworodka, który przecież pamięta doznania życia płodowego.

I wtedy nagle Korn pomyślał, że wszystko to, co obserwuje, zdarzyło się już kiedyś, miało taki sam początek, po którym nastąpiło coś, czego nie pamiętał, ale było to jakieś doznanie na tyle mocne, że poczuł

niepokój, a potem strach. Przez chwilę usiłował uświadomić sobie to doznanie, ale wtedy stało się ono bardziej niesprecyzowane i zaczął wątpić nawet w jego realność.

Pochylił się nad pulpitem, by przygotować pierwszą serię impulsów wejścia do nadsystemu. Składała się ona z wielu określonych kombinacji pobudzeń, przy czym po niektórych następował wysokonapięciowy wstrząs. Była to seria wprowadzana prawdopodobnie wcześniej przez Tertona, bo znalazł jej zapis przygotowany w podręcznych mnemotronach, a właściwie wiedział, że tam należy go szukać.

Przycisnął klawisz operatora, lecz zaledwie pierwsze kombinacje impulsów przekazane zostały do nadsystemu, obraz na ekranie rozpadł się na szereg regularnie powtarzanych błyskających punktów, a w głośniku usłyszał dziwaczny monotony werbel. Uczucie strachu, które odczuwał poprzednio, powróciło, lecz teraz było konkretne i obezwładniające. Starał się je przezwyciężyć, pomyślał nawet, że jest porównywalne z pierwotnym strachem praczłowieka, ale równocześnie automatycznie prawie przerwał

wprowadzaną sekwencję. Ruch naciśnięcia klawisza blokującego wykonany został niemal poza jego świadomością. Wtedy zrozumiał. On sam był uwarunkowany, a ekran i dźwięk stanowiły sygnał, na który zareagował.

Ale jeśli było to prawdą, to musiał brać już kiedyś udział w podobnym eksperymencie... „To niemożliwe

— pomyślał. — Absurdalny pomysł mego niezupełnie sprawnego mózgu”, ale potem przypomniał sobie szyb, zapach gleju i sprawność z jaką jego palce operowały na klawiszach nieznannej aparatury. Bał się teraz tym samym pierwotnym, paraliżującym strachem, który powoduje, że owad w niebezpieczeństwie zamiera w bezruchu i patrzy tylko na wskaźniki liczników „liczące wstecz”.

Obraz w ekranie i dźwięk uległy zmianie. Błyskające punkty skupiły się pośrodku ekranu, a głośnik buczał na niskich częstotliwościach. Nadsystem czekał i wiedział, że musi to zrobić. Pomyślał o

hełmie.

Wisiał nad jego ramieniem, wbudowany w aparaturę, przygotowany do bezpośredniej wymiany informacji między glejem i mózgiem człowieka, do wejścia człowieka w nadsystem. Ruch włożenia go i dociśnięcia elektrod był poza jego świadomością. Wciąż patrzył na liczniki, gdy ręka jego przesunęła na pulpicie dźwignię zamykając obwód.

Biały opar był niespójny. Słyszał głuchy łomot tętna, a w tle szum nadchodzącego przyboju. Mógł równocześnie pamiętać wszystko, a prawidłowości znanych zjawisk układały się w nieskończoną piramidę analogii. Nie istniały struktury izolowane, nieporównywalne. Był wszystkim i wszędzie, a ponad tym był

czas i świadomość ograniczenia w czasie, świadomość końca. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że wszystko to jest pamięcią jedne go

człowieka, wielowariantową, ogromną mnogością ekstrapolacji w przyszłość, lecz mimo to jedną pamięcią, jego pamięcią — Juliusa Tertona. Liczniki doliczyły do zera, opar zniknął, a on siedział w fotelu z hełmem na głowie, którego pozbył się z wysiłkiem.

Pochylił głowę, aż dotknął skronią chłodnego metalu blatu pulpitu. Czuł jeszcze na skórze czaszki piekące ślady elektrod, ból głowy i oporne, powolne kształtowanie się myśli, jak po wielu godzinach pracy nad problemem, którego rozwiązania nie można znaleźć mimo świadomości, że istnieje ono zaraz za jej skrajem.

Potem odsunąwszy nieco fotel nacisnął ukryty, niewidoczny przycisk umieszczony z boku pulpitu sterującego, w miejscu, które znał i pamiętał. Prymitywny, starożytny wbudowany przez niego bez udziału automatów mechanizm zadziałał i z trzaskiem wysunął płaską metalową szufladę. Pamiętał, że taką samą skrytkę odkrył w swym starym domu w biurku matki i znalazł tam fotografie uśmiechniętych młodych kobiet i samochodów, które można jeszcze oglądać w muzeum, a także zaproszenie dla Romana Tertona na ślub ludzi, których nazwiska nic mu nie mówiły. Tutaj w skrytce leżał zwykły zeszyt w sztywnej szarej okładce i kulkowe pióro, do którego wkłady można jeszcze czasem dostać w antykwariatach. Zeszyt zawierał uwagi o jego doświadczeniach, tych prowadzonych jeszcze na uniwersytecie, gdzie wykładał

struktury neuroniczne, i tych prowadzonych potem już tu w instytucie, a także tych ostatnich, gdy nadśluchiwał Kosmosu. Przerzucał kartki, aż znalazł zapis gdzieś sprzed ponad roku.

„...uwarunkował mnie. Myślałem, że obraz na ekranie zmienia się mniej lub bardziej losowo, a on wyznaczył rytmy wywołujące u mnie depresję. Początkowo nie podejrzewałem go o to, ale zauważyłem, że niektóre sygnały, te wiążące się z szokiem elektrycznym, nadaję z oporami. Pewnie początkowo wykrył, że moja aktywność maleje po tych depresjogennych rytmach i zaczął je stosować wtedy, gdy nadawałem mu sekwencje z szokiem. Trzeba przyznać, że nauczył się tego błyskawicznie. Na marginesie podejrzewam, że trafił również na rytmy wywołujące u mnie stan podobny do ataku epilepsji. Pamiętam, że kilka razy traciłem na chwilę przytomność i byłem nawet u lekarza. Lekarz mówił coś o przepracowaniu, ale to zawracanie głowy. Wycofał je zresztą ze swego repertuaru, bo

wtedy przerywałem pracę, a przecież stanowią dla niego jedyne źródło informacji o świecie zewnętrznym. Ciekaw jestem, kiedy zaczną mnie nagradzać (stany euforii?) za przedłużenie z nim czasu pracy. Zabezpieczyłem się z góry w związku z tą możliwością. Wbudowałem automatyczne układy dezintegrujące go po odpowiednim czasie. Było to chyba konieczne, bo gdyby trafił na odpowiedni rytm, znalazłbym się w sytuacji szczura w klasycznym eksperymencie z samopobudzaniem, i powtarzając eksperymenty w nieskończoność, nagradzany w sposób dostatecznie silny, umarłbym przed ekranem z wyczerpania. Oczywiście, to przesada (istnieje przecież wola), ale

przykład szczura jest jednak przekonywujący...

Pod następną datą:

„Była u mnie Elsy. Na nią działała to dużo silniej. Specjalnie dawałem jej sekwencje z wstrząsem. Świat przestał mi się podobać już po kilku minutach, ale ona była w tym stanie, że musiałem przerwać eksperyment i odwieźć ją do domu. Oczywiście, nie powiedziałem jej ani słowa, natomiast wysłuchałem wszystkiego, co można usłyszeć od kobiety w takim stanie. Zakazałem jej przychodzić do laboratorium i zdecydowałem o wprowadzeniu izolacji dojścia do nadsystemu. Kiedyś mogłaby popełnić samobójstwo po takim seansie. Naturalnie, można zlikwidować ekran i wyłączyć dźwięk, ale nie po to zostałem manipulatorem. Zresztą, rozwiązanie może się pojawić tam właśnie”.

Przerzucił kilka kartek. Pamiętał te notatki i wiedział już, co było dalej. Czytał jednak:

„...oczywiście, w raporcie dla Opiekuna nie podałem wszystkiego. Nawet najdoskonalszy system mnemotroniczno-przetwarzający, jakim jest Opiekun, nie jest w stanie przewidzieć wszystkich konsekwencji. Nort i inni wierzą weń ślepo, ale mimo że Opiekun jest układem samouczącym i kontrolowanym przez Światową Radę, został on stworzony dla konkretnego etapu rozwoju ludzkiego społeczeństwa, w którym nie było układów super-inteligentnych. Ponadto zbyt długo pracuję z układami samouczącymi się, żeby nie zdawać sobie sprawy, że jakakolwiek kontrola tak złożonego, obejmującego cały świat systemu jak Opiekun jest co najmniej iluzoryczna. Zawsze

podejrzywałem, że może nadejść taki moment, kiedy Opiekun przestanie dostosowywać się do ludzkości, zaczną natomiast dostosowywać ludzkość do siebie. Nort ani żaden inny twardogłowy z tym się nie zgodzi.

Ich wiara w Opiekuna jest niezachwiana, tak jak i pozostałych (z nielicznymi wyjątkami) ośmiu miliardów.

Jeśli nawet tak się stanie, nie zauważę tego.

Wracając jednak do sprawy zasadniczej, podejrzewam, że układy superinteligentne, takie jak nadsystem, znajdą Interpretacje. Stanowią one nową jakość i przerastają wszystko, z czym dotychczas się człowiek spotkał.

Przeczytałem powtórnie, to co dziś napisałem i odniosłem wrażenie, że wszystko to zawiera elementy samousprawiedliwienia. Tak jest chyba w rzeczywistości, ale nie przywykłem w końcu do

niekształcania rezultatów własnych prac. W każdym razie zanim przekażę te rezultaty, muszę sprawdzić, jak wygląda bezpośrednia wymiana informacji z układem superinteligentnym oraz czy można w dowolnej chwili dezintegrować taki układ. Przypuszczam, że może to nie być bezpieczne”.

Pod datą z dnia następnego czytał dalej:

„Pierwszy problem rozwiązałem. Podłączyłem się bezpośrednio do układu (przez standardowe łącze, takie jak z Opiekunem). Doznanie niepowtarzalne (a i to przypuszczam ograniczone ze względu na przepustowość standardowego kanału). W każdym razie język jest zbyt ubogi, żeby doznanie to opisać.

Zrównoleglenie myślenia. Poza

tym, jak mnie kiedyś uczono, ten kto dostrzega analogie między zjawiskami, jest sprawny umysłowo, natomiast ten, kto dostrzega analogie między analogiami — jest geniuszem. Ten układ jest geniuszem wysokiego rzędu!

Jeszcze wnioski: jestem absolutnie przeciwny podłączaniu mutantów z pawilonu zero bezpośrednio do niego. Taki koto — podobny mutant może stać się sprawniejszy umysłowo od człowieka. To, że mutanty te działać mają na Wenus, nie przekonuje mnie co do nieszkodliwości przedsięwzięcia. Wenus jest w końcu w skończonej odległości od Ziemi, a ponadto próbne podłączenia trzeba by wykonać tutaj. Podłączenia do niego należy (jeśli w ogóle) zarezerwować wyłącznie dla ludzi. Być może w nowych warunkach Opiekun przestanie być koniecznością. W każdym razie nie koty! Koty i tak są dostatecznie inteligentne! Kończę już.

Jestem po megadawce środków antydepresyjnych. Zacząłem drugą fazę eksperymentu — dezintegrowanie układu jako karę za natychmiastowe odrzucenie mnie — i doprowadził mnie do stanu, w którym miałem ochotę się powiesić. Jeśli jutro się to powtórzy, wyłączę ekran i dźwięk...

Nie ma jednak wyboru. Jemu potrzebne są informacje zapisane w moim mózgu, a nie moja świadoma w nim obecność. Najchętniej trzymałby mnie w połączeniu tak, by czytać moją pamięć we wszystkich możliwych kierunkach i poznać świat. Za to skłonny jest mnie nagradzać stanami euforii. Lecz gdy włączam się z moją świadomością i myślę w nim, zakłóca to widocznie jego rytm i odrzuca mnie prawie natychmiast do stanu nieświadomego.

Ta chwila nadświadomości warta jest jednak wiele! Gdy chcę wymuszać moje w nim uczestnictwo, reaguje brutalnie. Oczywiście uczestnictwo wymuszam szokiem elektrycznym i dezintegrowaniem go, gdy mnie odrzuci. To niebezpieczna zabawa. Chciałbym wiedzieć, jakie mam szanse... Jest to na tyle niebezpieczne, że rzuciłbym to i wrócił do eksperymentów poprzednich, w których nie włączam się do niego swoim mózgiem, ale stawka jest zbyt wysoka. Sygnały napływają i Kosmos do nas mówi. Ani my, ani nasze automaty nigdy nie znalazły Interpretacji. Myślę, że w nim, tym nadinteligentnym gleju, tkwi szansa zrozumienia, możliwość Interpretacji. Tylko człowiek musi na te sygnały spojrzeć poprzez niego, stać się na dostatecznie długi moment częścią niego. Jeśli nawet jest to cień szansy, to jest on wart każdej ceny.

Wobec tej perspektywy moje życie się nie liczy. Zresztą, porozumiałem się z Opiekunem i Radą.

Jeśli coś się stanie, oni będą działać... A jeśli im się to nie uda, to wierzę, że przyjdą inni...”

Na tym notatki się kończyły. Patrzył w puste kartki i wiedział, że dzień następny był dniem, gdy znaleziono go w gleju — w stanie śmierci klinicznej, bo automaty rozpoczęły alarm natychmiast, już w momencie, gdy znalazł się w szybie, i tylko dlatego jego pamięć jest częścią pamięci człowieka, który nazywa się Stef Korn.

Przesunął dźwignię umieszczoną z boku pulpitu sterującego. Przez chwilę nic się nie działo i pomyślał, że w czasie jego nieobecności usunięto to urządzenie, które z takim uporem i trudem tu wbudował. Gdy tworzono bąbel izolacyjny zrobił wszystko, by pulpitu nie wymieniono na coś bardziej nowoczesnego, niezawodnego i błyszczącego, Zagroził nawet, że przestanie tutaj pracować i dopiero wtedy Opiekun ustąpił. Nie akceptował personifikacji Opiekuna i dlatego był od niego jakoś niezależny. Wiedział, że ta jego niezależność jest złudzeniem, raczej komfortem psychicznym niż rzeczywistością, jednakże w tym przypadku Opiekun ustąpił. A teraz urządzenie nie działało szarpnął dźwignię powtórnie i wreszcie pulpit drgnął, obrócił się o ćwierć obrotu na pionowej osi umieszczonej w jego rogu. Odślonił szyb kwa-dratowy o boku nie większym niż dwa metry.

Terton wstał z fotela, podszedł do szybu i pochylił się nad nim. Widział klamry wbite w ścianę schodzącą w głąb, zwykle metalowe klamry z niekorodującego metalu, które sam kiedyś kazał tu założyć automatом, bo wierzył w niezawodność rozwiązań najprostszych urządzeń działających tak, że jedynym układem sterującym, wystarczającym do ich działania, jest mózg i ciało człowieka.

Wnętrze szybu nie było oświetlone, tylko szare, wyłożone tworzywem ściany kanału odbijały trochę światła i dlatego tam w dole widział to. Natomiast słodki odurzający zapach czuł wyraźnie mimo filtrów i wentylatorów. Był to zapach tropikalnej puszczy w duszne upalne południe, gdy szybciej gniją łodygi zwiędłych roślin, a mętna brązowoczarna woda w kałużach żyje.

Spojrzał raz jeszcze na klamry, których nie mógł dosięgnąć wtedy wsysany przez glej, zalewający mu oczy i zatykający usta słodkawym smakiem mleka.

Wtedy przestał być.

Gdy myślał o tym, poczuł w karku mrowienie. Pamięć wszechogarniającego strachu dochodzącego do świadomości z młodszych ewolucyjnie części mózgu, strachu wspólnego wszystkim układom żywym, w momencie gdy przestają być, jeszcze teraz nie była wspomnieniem.

Wrócił do pulpitu sterującego, podniósł dźwignię i pulpit wrócił na swoje miejsce zakrywając szyb.

Usiadł w fotelu i wtedy mały prostokątny ekran w rogu pulpitu rozjarzył się szarym światłem.
Zobaczył

w nim twarz Norta.

— Wszystko w porządku, Korn? — zapytał tamten.

— Tak — odpowiedział Terton — wszystko normalnie. Nie przeszkadzaj.

Zauważył zdumiony wzrok tamtego i pomyślał, że przecież odezwał się tak jak zawsze, gdy Nort, człowiek, którego nie lubił, przeszkadzał mu w eksperymentach. „Widocznie Korn nie rozmawia tak z Nortem” — pomyślał. Potem, gdy twarz tamtego zniknęła z ekranu, pomyślał jeszcze, że zaczął być dopiero tu, w bąblu eksperymentalnym, a nie wcześniej, na zewnątrz, jak to było ustalone.

Niezgodność ta zastanowiła go i zaniepokoiła. Wszedł tu więc jako Korn. To, że musiał być Kornem dla nich wszystkich, tego tłumu głupców z ambicjami, wiedział już wcześniej. Ale przecież w środku miał być sobą, cały czas, a tamten Korn, miał być tylko wówczas, gdy jego głowa będzie w hełmie. Dla niego, Tertona, miał być to po prostu sen bez marzeń, ta symulowana rzeczywistość tamtego, rzeczywistość jedyna, w której tamten miał

być. Bo tylko marzenia senne chciał oddać Kornowi.

Coś tu się nie zgadzało. Postanowił to wyjaśnić z Opiekunem i doprowadzić wszystko do przewidywanego stanu.

Ostateczne eksperymenty, ich druga faza, były sprawą zbyt poważną na takie zabawy w chowanego: raz on, raz

Korn; w każdym razie zabawy; z nim — Juliusem Tertonem.

Zeszyt z jego notatkami — otwarty na ostatniej stronie — leżał na pulpicie. Wziął pióro i zapisał.

„Wznowienie eksperymentów. Pierwsza próba. Właściwie doznania takie same, a jednak nieuchwytnie inne. Widocznie indywidualne, pozaświadome cechy układu włączanego (w tym przypadku mózgu Korna) wpływają jakoś na całość. Trzeba to dokładnie zbadać, jest to bowiem możliwość unikalna...” — „unikalna”

podkreślił dwa razy. „Odczucie wszechobecności i wszechmożliwości jest silniejsze, bardziej klarowne” —

po chwili wahania dopisał w nawiasie „czyste”. „Może mój obecny mózg jest po prostu strukturą młodszą, mniej przetartą latami. Przecież w młodości nasze doznania też są intensywniejsze i odbieramy je pełniej...”

Przerwał pisanie, bo spostrzegł, że to, co przed chwilą zanotował, napisane zostało przez innego człowieka. Tamto pismo, sprzed pół roku było ostre, kanciaste, a teraz litery były zaokrąglone i wykańczane pedantycznie, bez tego chaotycznego rozrzutu, który tak dobrze znał i uważał za własny. To w końcu nieważne. Myśli przecież tak samo jak dawniej, jest sobą, Juliusem Tertonem. I to jest najważniejsze. W

końcu taka hybrydyzacja to nie złożenie rąk do modlitwy, które później rozchodzą się każda do swoich czynności, tylko złożenie mózgów na zawsze, przynajmniej w kategoriach czasu własnego tych mózgów. . W

tej interpretacji pogodził się z rzeczywistością,

jaką zastał, wyrzucając problem z pola swojej uwagi, tak jak przez całe swoje życie usuwał stamtąd problemy, które były zastane i odporne na wszelkie działania z jego strony.

„Taki sam... — powtórzył. — Ale jaki jest dowód na to, że jestem taki sam”. Zapewnienie Telpa w tym krótkim przebudzeniu zaraz po zabiegu, gdy tamten — Korn — był w interakcji z Opiekunem w

swoim nierzeczywistym świecie. Albo rozmyślania, gdy sterował stratorem lecąc tu, do instytutu, bo tamten nigdy nie prowadził stratora i Opiekun bał się, by Kornowi, tej cennej hybrydzie, nic się nie stało. A poza tym, gdy doprowadził strator do lądowiska, zniknął on — Julius Terton, zgasł jak wygaszony ciąg silnika, w jednej chwili, bez uprzedzenia, a tamten zapewne zaczął być. I co było dalej między lądowaniem, a jego tu przebudzeniem? „Tamten ukradł mi te dni” — pomyślał. I po raz pierwszy poczuł niechęć do tamtego, Stefa Korna, którego życie znał, bo studiował to, co było o nim dostępne w czasie drugiego swego przebudzenia i dotychczas myślał o nim bez niechęci, o tym chłopcu niemal, dla którego życie zatrzymało się w tych samych latach, gdy on, Terton, się urodził.

Nacisnął przycisk wezwania i w ekranie pojawił się Nort.

— Skończyłem — powiedział Terton.

— W porządku. Jak poszło?

— Jak zwykle.

— Jak to, jak zwykle? Przecież ty pierwszy, raz...

Terton zrozumiał, że odpowiedział nie tak, jak należało.

— Nie sądzisz chyba, że nie pracowałem na symulatorach — powiedział po chwili.

— Mówiłeś inaczej, Korn.

„Co ten Korn im jeszcze powiedział lub nie powiedział?” — pomyślał Terton.

— Mówi się różne rzeczy.

— Rozumiem. Ale po co?

— Byś miał o czym myśleć w wolnych chwilach, Nort.

— Widzę, że już wszedłeś w rolę wielkiego manipulatora, Korn.

— Nigdy z niej nie wychodziłem. Zapamiętaj to sobie i nadaj zewnętrzny sygnał końca eksperymentu.

— Tak, oczywiście — powiedział Nort i wyłączył ekran.

Po chwili Terton przeniknął przez ścianę bąbla i stanął przy Norcie.

— Jesteś trochę rozdrażniony, Stef — powiedział Nort. — Rozumiem, to musi być męczące.

— Jak każda praca, gdy się naprawdę pracuje. — Terton chciał się jeszcze zapytać o postęp teorii Norta.

Wiedział o tym, że Nort zajmuje się uzupełnieniami Einsteina, jak tamten sam to nazywał, i jak

dotychczas bez powodzenia, ale zrezygnował z pytania, bo przecież Korn mógł o tym jeszcze nie wiedzieć.

— Pamiętasz, gdzie jest wyjście? — zapytał jeszcze Nort.

— Tak. Trafię sam. Nie musisz iść ze mną. No, do zobaczenia.

Przeszedł do windy, wjechał na górę i już po chwili wszedł do swego pokoju. „Tu przynajmniej Korn nic nie zmienił — pomyślał. — Może po prostu nie zdążył”. Potem zobaczył hełm, którego przedtem nie pozwalał u siebie zainstalować i był zły, ale pomyślał, że jest to coś, czego tamten potrzebuje i że taka danina „za gościnę”, jak to sobie w myśli określił, nie była chyba ceną zbyt wygórowaną.

Poczuł głód. Minęło już południe, o czym nie patrząc nawet na zegarek wiedział z położenia plam słonecznych na wykładzinie podłogi. Podeszedł do aprowizatora, przycisnął klawisz zestawu, który zazwyczaj jadał i po chwili wyjął podgrzany posiłek z pojemnika. Zjadł i nadal był głodny.

„Młodość ma inne wymagania kaloryczne — pomyślał — ale i tak więcej nie dostaniesz”. W tej samej chwili zrozumiał, że myśli tak o żołądku, który jest przecież także jego własnym żołądkiem, bo innego nie ma. „Muszę się także do ciebie przyzwyczaić” — dodał, ale dodatkowego posiłku nie zażądał. Po obiedzie wyciągnął się w fotelu, podłożył pod głowę swoją ulubioną poduszkę w smoki i od telewizofonu zażądał połączenia z Telpem.

podając jego zlicz, który aż nadto dobrze pamiętał.

Ekran przygasł, a gdy się rozjaśnił, zobaczył w nim fragment laboratorium Telpa, rzędy aparatów i sterowników stojące pod ekranami, przebiegi migocące w ekranach monitorów i wreszcie Telpa, który podeszedł do telewizofonu.

— Witaj, Telp — powiedział.

— O, Korn. Witaj! Cieszę się, że cię widzę.

— Jesteś sam, Telp?

— Tak, dlaczego?

— Bo to jestem ja. Prawdziwy ja.

— Ach tak — Telp był już poważny. — Wszystko przebiega pomyślnie?

— Nie. Dlatego cię wizytuję.

— Z czym masz kłopoty?

— O tym nie będziemy dyskutować przez łącza — powiedział Terton. — Chciałbym cię tu zobaczyć.

— Kiedy?

— Choćby dzisiaj.

— Wykluczone. Mam odłumione preparaty.

— Więc jutro.

— Wolałbym...

— Wiesz przecież, że do ciebie nie mogę przyjechać, jeśli chcę rozmawiać tylko z tobą. A na dyskusję z Opiekunem zawsze potem znajdę czas.

— Ale widzisz...

— Mój drogi. Znamy się tak długo; ja ciebie od urodzenia, a ty mnie trochę krócej o lata twojej niemowlęcej nieświadomości, jednakże dostatecznie długo, byś przybył, kiedy cię potrzebuję. W końcu układ, w którym jestem, stanowi produkt twojej, nie mojej wyobraźni.

— Ja to w swoich pracach rozważałem tylko teoretycznie. Wiesz o tym.

— Nieważne. Wraz z Opiekunem zrealizowałeś to praktycznie i teraz jesteś mi potrzebny. Jesteś lekarzem.

— Chwilami sam w to wątpię.

— Powstrzymaj więc swoje wątpliwości do chwili, kiedy doprowadzisz wszystko do właściwego stanu.

To, co

jest w tej chwili, to niewątpliwy twój sukces, ale jeszcze nie zakończenie sprawy.

— Rozumiem. Chyba rzeczywiście muszę jutro przylecieć.

— No to jesteśmy umówieni. Pozdrów matkę. Pytała o mnie?

— Tak. Powiedziałem, że już jesteś z powrotem.

— Ale bez szczegółów.

— Oczywiście, tak jak chciałeś.

— Więc do jutra, Kew. Uprzedź mnie, to wyjdę po ciebie na lotnisko.

— Nie powinieneś. On by tego nie zrobił.

— Chyba masz rację. Więc czekam w altanie, tam gdzie zawsze.

— Dobrze. Do jutra.

Ekran zmatowiał.

Stał się w pełni sobą późnym popołudniem. Leżał nieruchomo, patrząc jak promienie ostrego popołudniowego słońca przechodząc przez szpary w żaluzjach tworzyły jasne pręgi na obiciu fotela i coraz dalszych fragmentach podłogi. Reszta pokoju była w półmroku, tylko w rogu poświatą jarzył się ekran pusty i szary, odłączony od barw i kształtów zewnętrznego świata. Był sam. Wstał, przeciągnął się, zrzucił

tunikę i wszedł do kabiny elektryzera. Ze zdziwieniem spostrzegł, że płaski plastikowy ryj urządzenia wyrzucającego naładowane cząstki myja zniknął, a jego miejsce zajmuje znany mu dobrze ze starożytnych widów prysznic. Przez chwilę wahał się, czy nie wezwać przez interkom gospoda, ale pomyślał, że facje automatów stanowiąc będą niemiły akcent popołudnia, wcisnął

więc przycisk i poczuł na swym ciele strumień wody.

— Chłodniejszą — powiedział i czekał, aż strumień osiągnie właściwą temperaturę.

Gdy podmuch powietrza osuszał go, dotknął przypadkiem ręką brody i poczuł pod palcami zarost.

Zesztywniał przez chwilę w bezruchu, bo wiele lat temu dokonał przestrojenia i nigdy nie miał z brodą żadnych kłopotów. Postanowił tę sprawę zweryfikować w przyszłości, gdy usłyszał brzęczyk interkomu.

Spojrzał w ekran. To była Elsy. Nie mógł umówić się z nią na dzisiejsze popołudnie, ale pomyślał, że w końcu Elsy to jest Elsy i jeśli chce go widzieć, to mężczyzna w jego wieku powinien być zadowolony. Nagle uświadomił sobie, że Elsy przyszła zobaczyć się z Kornem.

— Wejdz, proszę — powiedział i w pośpiechu włożył ubranie.

Gdy wszedł do pokoju, Elsy stała przy wejściu rozglądając się jakoś niepewnie w sposób dla niej niezwykły.

— Siadaj — powiedział — miło, że o mnie pamiętasz także po południu. Zjesz ze mną podwieczorek i wypijesz kawę.

Patrzyła na niego zdziwiona i zastanawiała się, co tak niezwykłego powiedział.

— Dzień dobry — odezwała się wreszcie. — Przepraszam, że przyszłam tak wcześnie, ale wczoraj powiedziałam wiele niepotrzebnych słów.

— Nie ma o czym mówić, kochanie — równocześnie zastanawiała się, co mogła powiedzieć tamtemu chłopakowi.

— Kochanie...?

— Coś nie tak? Przepraszam cię z góry za wszystko.

— Nie rozumiem — powiedziała Elsy. — Mówisz dzisiaj zupełnie inaczej, tak jakbyś... — przyjrzała mu się uważnie.

— Daj spokój, Elsy. Masz pewnie jakiś kłopot. Nie sędzę, byś przyszła do mnie tak po prostu, by mnie zobaczyć. Nort nie będzie tym zachwycony...

Spostrzegł, że znowu powiedział coś niewłaściwego.

— Korn, przecież ty... — zawahała się — zmieniłeś się jakoś.

— Pracowałem dzisiaj.

— Sędzisz, że to kontakt z nadsystemem. Terton zawsze mówił...

— Terton, a kto to jest? — nie mógł powstrzymać się od tego pytania i pomyślał, że jest pierwszym człowiekiem w historii ludzkości, który mógł zadać takie właśnie pytanie nosząc na sobie równie nieprzezroczystą i doskonałą maskę.

— Mówiłam ci już przecież. To był wielki manipulator. Pracował tutaj.

— To ten, co zginął, utopił się w organicznym błocie. I to w dodatku przez swoją głupotę.

— Nie mów tak. To był wielki uczony, a poza tym człowiek, który mógłby być twoim ojcem.

— Taki starszawy dziadek pogrążony w swoich eksperymentach, które w końcu pogrążyły jego.

— Niezupełnie tak. Młody na pewno nie był. Pewnie, ty jesteś młody.

— Nort też nie jest młody — powiedział i równocześnie pomyślał, że zawsze najbardziej lubił Elsy wtedy, kiedy milczała.

— Z Nortem nic mnie nie łączy — powiedziała. — To chyba widać.

— Poza kilkunastoma latami wspólnego życia.

— Skąd ty to wiesz, Korn? On ci to mówił?

— Wystarczy, że wiem.

— Ale to, co powiedziałam przed chwilą, jest prawdą.

— Ostatnio liczył się tylko Terton. Czyż nie tak?

— Tak, ale to było dawniej, jeszcze dużo wcześniej, zanim zginął. To był wielki uczony.

— Nie zostałeś jednak z Tertorem.

— Nie. Zresztą on chyba nigdy naprawdę tego nie chciał. Pod koniec także ja nie chciałam.

„Tak, to prawda — pomyślał Terton. — Nigdy nie chciałem z nią zostać. Ale ona...” — pamiętał jeszcze wieczór drugiego, może trzeciego dnia, zanim przestał być. Pojechali wtedy w góry małym dwuosobowym łązikiem, który z cichym buczeniem silnika wspinał się swoimi gąsienicami na każdą, najwyższą nawet przełęcz. Siedzieli na kamieniach na przełęczy, a dookoła były zeschnięte osty, z których zostały tylko kolce.

Słońce było nisko tuż nad szczytami i w dolinach zaczynał się już mrok.

— Skończ te eksperymenty — mówiła Elsy — i wyjedziemy stąd, gdzieś, gdzie jest dużo wody i białe chmury. Zauważyłeś, że tutaj prawie nigdy nie ma chmur?

— Po prostu to jest pustynia, a drzewa i trawa są tylko tam, gdzie doprowadzono wodę.

— Tak, trawa przy autostradzie nad kanałem jest zielona, ale ona przypomina chodnik, nie prawdziwą trawę. Więc co, wyjedziemy?

Wiedział, że nigdzie z nią nie wyjedzie, że ona jest dziewczyną na tę pustynię, ten instytut i takie popołudnia, gdy kończył eksperymenty i miał czas, tak samo jak wiele innych dziewczyn było na miasta, w których mieszkał i instytuty, gdzie pracował. Był już jednak na tyle starym człowiekiem, że nigdy nie mówił

„nie”, chyba że naprawdę musiał.

— Może wyjedziemy — powiedział — ale przede mną jeszcze tyle eksperymentów...

Teraz eksperymenty te były przed Kornem, a on, Terton, za jego maską mógł je prowadzić. I była także Elsy, dziewczyna na tę pustynię, ten instytut i te eksperymenty.

— No, przynajmniej nie masz już z tym kłopotów, gdy jego nie ma — powiedział do Elsy.

— Tak, skończyło się, ale szkoda, że umarł. To był dobry człowiek.

„Jaka ona niemądra — pomyślał Terton — ja w najlepszych młodzieńczych czasach, na najwyższym poziomie moich dobrych chęci nigdy nie mogłem siebie tak określić”.

— To teraz jesteś sama — powiedział.

Popatrzyła na niego jakoś inaczej.

— Tak, sama...

Podszedł do niej, objął ją i pocałował.

— Oj, manipulatorze — powiedziała. — Szybko sobie poczynasz.

— Może mam nie więcej czasu, niż miał Terton.

— Ale jesteś młody. Jesteś przecież młodszy ode mnie.

— Wiek, moja droga, jest zmienną niezależną od nas.

— Nie filozofuj. Zaczynasz przypominać mi Tertona.

— Nudził?

— Czasami. Lepiej minie pocałuj.

Potem, gdy leżeli obok siebie, na zewnątrz był już mrok.

„To, co napisałem w zeszycie eksperymentu, jest prawdą i dotyczy wszelkich doznań — pomyślał

Terton. — D brze być Kornem i mieć trzydzieści lat”.

— Muszę już iść — powiedziała Elsy.

— Nort?

— Tak. Nie lubi, gdy wracam późno. Czeka na mnie z kolacją.

— Wiesz, Elsy, jesteś dziwką — powiedział.

— Co? Dlaczego? Mówiłam ci już o mnie i Norcie.

— Nie mówię o Norcie. Chodzi o Tertona.

— Żartujesz. On przecież nie żyje.

— A więc się nie liczy.

— No, wiesz! Zresztą nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteś zazdrosny o zmarłych. Chyba przesadzasz. A w ogóle jesteś dziwny. Jakiś niezrównoważony. Myślałam, że manipulatorami zostają bardziej stabilni ludzie.

— Źle myślałaś, kochanie. A dziwką i tak jesteś.

— Powtórzysz to jeszcze raz i nigdy więcej do ciebie nie przyjdę.

— Skąd wiesz, że będę chciał.

— Wiem. Będiesz. A jeśli chodzi o Tertona, podziwiałam w nim wiedzę, inteligencję. Ty za to jesteś mężczyzną.

— A on nie był?

— Ty ciągle swoje. Czego właściwie chcesz? Mam mówić o nim źle tylko dlatego, że jestem z tobą.

Wiem, wiele kobiet tak robi. Ale mnie się to nie podoba. Poza tym to nie ma sensu. Nie ma człowieka. Jest tylko wspomnienie. A to był dobry człowiek.

— Gdybyśmy wierzyli jeszcze w piekło, na miejscu Tertona odnalazłbym ciebie, byś świadczyła za nim, gdy będą go tam wrzucać.

— Znowu dziwaczysz. Muszę już iść...

— Do zobaczenia.

Gdy wyszła, leżał z zamkniętymi oczami. „Jakim właściwie człowiekiem był Terton?” — pomyślał.

Potem przeciągnął się. „Jednak dobrze być Kornem”. Wezwał automat i uciął hełm tuż przy ścianie.

Wiedział, że nocą hełm sterowany czujnikami trafiłby na jego głowę, a wtedy zacząłby być Korn.

VI

Dzień zaczął od połączenia z komputerem instytutu i osiedla. Dowiedział się, że strator Telpa był już w drodze. Potem odszukał swój wielki trzcinyowy kapelusz chroniący od słońca, który kiedyś przywiózł z Meksyku. Słoneczne okulary leżały na miejscu w szufladzie biurka, tam gdzie je wiele miesięcy temu zostawił. Kapelusz był trochę za duży, a okulary zsuwały się z nosa, jednakże nie przeszkadzało mu to zbytnio. Tego dnia także był upał i gdy opuścił klimatyzowane pomieszczenie, poczuł gorący podmuch pustyni. Wezwał mały dwuosobowy łazik i ruszył nim drogą przez osiedle. Skręcał właśnie na główny trakt, który przechodził estakadą nad szarymi pasmami

90autostrady i wzdłuż kanału prowadził do prawdziwego jeziora odległego o kilkanaście minut jazdy, gdy nagle zobaczył mężczyznę wymachującego kapeluszem. Zatrzymał łazik.

— O co chodzi? — zapytał.

— Witam, manipulatorze. Jestem Gotan.

— Witaj.

— Nie poznajesz mnie?

Wzruszył ramionami.

— Spotykam tylu ludzi — powiedział.

— Nie pamiętasz naprawdę? Przedwczoraj wieczorem. Miałeś kłopoty z automatem.

— Ja?

— Po prostu rozbiłeś go — powiedział tamten i Terton zauważył, że człowiek z którym rozmawia poczuł

się urażony.

„To znowu Korn” — pomyślał.

— Ach, oczywiście — powiedział. — Daruj, że cię nie poznałem.

— Wtedy było ciemno — teraz Gotan się uśmiechnął.

— No i co ten automat? — zapytał Terton, bo tamten milczał.

— Złom — ucieszył się tamten. — Masz krzepę, manipulatorze. Bez narzędzi, samymi rękami zniszczyć taki automat. Zazdroszczę ci. Nie pracujesz dzisiaj?

— Nie. Przerwa w eksperymentach.

— Chyba Opiekun cię wczoraj szukał. Miałeś kontakt?

— Tak. Oczywiście — skłamał Terton.

— To musiało być pilne, bo wzywał cię otwartym kodem na wszystkich kanałach.

— Opiekun zawsze przesadza z tym pośpiechem. On ma układy elektroniczne. My tylko białkowe i nie nadążamy za jego tempem.

— Pamiętaj o moim zaproszeniu — powiedział jeszcze Gotan. — Zajdź do mnie, jak będziesz miał trochę czasu.

— Na pewno — Terton machnął ręką tamtemu i ruszył.

Teraz, gdy minął ostatnie zabudowania osiedla, miał przed sobą kilkukilometrowy odcinek do autostrady i kanału. Widział już zielen wokół kanału i pomyślał, że świat z prawdziwymi drzewami i trawą różni się jednak zasadniczo od nierzeczywistych tworów fantotronii i żałował, że w osiedlu nie ma drzew i krzewów. Oczywiście, doprowadzenie wody nie byłoby problemem, ale kiedyś postanowiono, że wokół

osiedla będzie pustynia. Na pustyni zbiegli lokatorzy pawilonów, dziwaczne chimery i pseudozwierzęta, wariacje człowieka na tematy ewolucji, nie znajdowały ukrycia. Stawały się łupem swojego twórcy, do-kładniej jego automatów gończych, a jeśli miały więcej szczęścia — sępów.

Przejechał nad autostradą ciągnącą się w obie strony do horyzontu, po której mknęły na swych nośnych poduszkach pojazdy. Wszystkie były podobne, bo szczegóły ich kształtów zacierały się przy tej szybkości.

Dalej jechał wzdłuż kanału z brzegami zarosłymi sitowiem i nagle w przerwie między dwiema ścianami trzciny zobaczył rybaka. Siedział na brzegu pochylony nad wędką, wpatrzony w sępawik, niezmiennik w upływie czasu i

wieków, które minęły, taki sam jak pokolenia rybaków, patrzących przed nim w wodę.

Do altany zjeżdżało się nad jezioro, sztuczny zbiornik wody, kilkadziesiąt lat temu spiętrzony, tam, gdzie przedtem była pustynia. Jezioro sięgało prawie po horyzont, ale na samym horyzoncie był jeszcze brzeg i ledwo widoczne z tej odległości punkty budynków Centrum Nasłuchu Kosmicznego. Anten z tej odległości nie było widać, ale wiedział, że są tam, wymierzone w jeden punkt Kosmosu, nadążające za nim nieustannie powolnym ruchem ażurowych konstrukcji, w oczekiwaniu na sygnały, które może znowu nadejdą.

Zostawił łazik na parkingu i wszedł w aleje. Szedł wolno ocienioną stroną alei, bo tego nauczył się żyjąc wiele lat na południu. Drzewa nie dochodziły do altany, którą otaczały południowe krzewy właśnie przekwitające. Gdy wyszedł z cienia drzew, poczuł na plecach słońce i ledwo uchwytny zapach wody i mułu.

Nad brzegiem chłopcy spychali na wodę łódź i słyszał ich głośną rozmowę.

Wejście do altany owiało go chłodnym klimatyzowanym powietrzem. Altana była wielką przezroczystą niewidoczną klimatyzowaną kopułą zatrzymującą tylko część widma promieni słonecznych. Przez jej ściany widać było krzewy, drzewa i jezioro, a wewnątrz wiał lekki wiatr, ale był to wiatr sztuczny. W altanie były także kwiaty i krzewy, może tylko nieco inne, jednak granica między nimi i tym, co na zewnątrz, była prawie niewidoczna tak, że stojąc z dala od ścian kopuły trzeba było wiedzieć, gdzie one są, by je zauważyć.

Telp czekał na niego tam, gdzie zawsze, pod krzakiem jaśminu. Była tam ławka ze stolikiem i skrzynka aprowizatora. Telp pił przez słomkę opalizujący sok i wstał, gdy Terton podszedł.

— Witaj, Jul — powiedział i uściśnął mu rękę, ale Terton spostrzegł, że nie powiedział tego tak jak zwykle, gdy dawniej spotykali się w tym miejscu. Telp zauważył może także jakąś zmianę, bo dodał: —

Wiem, że to jesteś ty, ale nie mogę do tego przywyknąć. Teraz jesteś moim rówieśnikiem, Jul.

— Zawsze, od kiedy stałeś się mężczyzną, czułem się nim. Źle wyglądasz, Kew.

Mówił mu zawsze po imieniu, gdy byli sami, a właściwie zaczął dopiero używać jego nazwiska, gdy kilkanaście lat wcześniej spotkali się na Sympozjum Protez Białkowych. O uczestnictwie Telpa w tym sympozjum Terton nie wiedział i gdy go zobaczył przy konferencyjnym stole, poczuł się stary.

— Mam dużo pracy — powiedział Telp. — Setki ludzi zgłasza się do nas, a tylko niewielu mogę pomóc.

— Myślę, że jednak dla mnie znajdziesz czas. To trzeba poprawić. Nie czuję się dobrze w tym „ubraniu”

— uśmiechnął się, ale Telp patrzył na niego uważnie, bez uśmiechu. — Możesz przecież to zrobić.

Telp milczał.

— Chcę mieć pełną kontrolę nad tym organizmem — powiedział twardo Terton. — Gdy ciało się budzi, to mam

być ja, gdy pracuję, także ja, gdy odbieram wrażenia z prawdziwej rzeczywistości, ja i tylko ja. On może mieć swoją symulowaną rzeczywistość z personifikacją Opiekuna, kiedy ja śpię. Jak widzisz, nie jestem zachłanny — dodał, by złagodzić wrażenie poprzednich słów. Telp dalej milczał.

— Tego nie można tak zrobić, Jul — powiedział w końcu. — Nie można.

— Nie zwracaj głowy. Obaj wiemy, że jest to możliwe. Nie jestem tak wybitnym specjalistą jak ty, Kew, ale ogólne pojęcie o psychoimplementacji mam. Czytałem wszystkie twoje prace. Oczywiście, nigdy nie było to stosowane w takim zakresie jak u mnie, ale przeszkód natury technicznej nie ma.

— Masz rację, Jul. Nie ma.

— Więc o co chodzi?

— To nie takie proste, Jul. Tylko w jabłoni przeszczepia się owocującą koronę jednego drzewa na pień innego, które potem nie jest już drzewem, a tylko ma korzenie, czerpie z ziemi soki i żywi ten owocujący pęd. Tu są dwaj ludzie, ty i tamten człowiek.

— Przecież wiesz, skąd on jest.

— Ale jest: żyje, myśli, czuje. To jest człowiek, Jul.

— Wtedy, gdy byliśmy w chłodniach, o tym nie mówiłeś.

— Nie wiedziałem, że to będzie tak właśnie, jak jest. To moja wina. Nie wyobrażałem sobie tego, przynajmniej nie tak.

Terton pamiętał ten dzień, gdy zeszli do chłodni. Po jego raporcie Opiekun sugerował znalezienie takiego rozwiązania. Potem, gdy przyleciał do Instytutu Transplantacji, trafił do Telpa przypadkiem, a może tak chciał Opiekun. Już wtedy Telp wydał mu się inny, ale nie widział go długo, bo obaj pracowali wtedy dużo, i mieli sobie chyba coraz mniej do powiedzenia.

— Pomyśl jest technicznie realizowany — powiedział wtedy Telp, ale rozumiesz, dlaczego tego nie robimy. Oczywiście, tym razem sytuacja jest inna, bo chodzi o problem istotny dla nas wszystkich, dla całej ludzkości. Ale jednak lokalnie, dla najbardziej zainteresowanego sedno sprawy pozostaje bez zmiany.

Pamiętał, że Telp mówił to, gdy zjechali już windą i szli długim podziemnym korytarzem do chłodni.
W

korytarzu minęli automat, mały sterowany wózek, wiozący w drugą stronę do wind sarkofag, od którego wiało chłodem, a jego powierzchnia pokryta była cienką warstwą szronu. Potem w śluzach czekali na skafandry, które zakładały im automaty. Nie były to skafandry kosmiczne, ich materiał był cieńszy, ale izolacja termiczna pełna. Na koniec ich głowy zamknięto w hełmach.

— Tam jest chłodno — powiedział Telp. — Temperatura minus pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stopni.

Oczywiście, w ogólnych pomieszczeniach. W przechowalnikach jest temperatura płynnego azotu.

Potem gdy weszli do okrągłego pomieszczenia, którego

ściany stanowiły setki płyt z uchwytnymi, Terton zapytał:

— Dużo ich tu jest?

— Tysiące — powiedział Telp — zwieziono ich z całej Ziemi. Widzisz, tam przy wejściu, trzeci od góry, to przechowalnik Bedforda, pierwszego człowieka, który zdecydował się na to gdzieś na początku drugiej połowy dwudziestego wieku. Nie pamiętam dokładnie. Takich sal jak ta jest kilkanaście. To jest sekcja historyczna, która nas teraz interesuje. W sekcjach bliżej wejścia

przechowywane są ciała ze współczesnych wypadków. Ale nie ma ich wiele. Wypadki są rzadkie, a gdy się już zdarzają, zazwyczaj nie ma ciała. A z innych przyczyn nikt dziś młodo nie umiera.

— I dlatego wzięliście ich, tych z zeszłego wieku.

— A cóż w końcu za różnica! Biologicznie człowiek w tej skali czasu jest niezmienny. Gdybyśmy mieli ciała starożytnych, też moglibyśmy z nich dokonywać transplantacji — Telp podszedł do małego pulpitu z ekranem. — Wybrałem dla ciebie kandydata, Jul. Już z tego wieku. Nazywał się Stef Korn i był biofizykiem.

W trzydziestym pierwszym roku życia wypadek, sporo uszkodzeń. Dwoma, trzema przeszczepami można je usunąć, niestety, trzeba będzie go scyborgizować, ale, co najważniejsze, mózg jest nieuszkodzony. Poza tym żadnych schorzeń. Przed wypadkiem musiał być absolutnie zdrowy, a co ciekawsze, charakterystyka jego tkanek jest w pierwszej klasie zgodności z twoją. Chyba nie ma sensu szukać czegokolwiek innego.

— Cóż, Kew, jeśli ty tak uważasz...

— To nie moja opinia. Komputer zrobił analizę porównawczą całego materiału, który mamy w przechowalni. Chciałem ci jeszcze pokazać jego twarz, oczywiście nie tę teraz, tylko portret zrobiony przez komputer po uwzględnieniu przewidywanych rekonstrukcji.

Telp sięgnął do pulpitu i Terton zobaczył w ekranie młodą twarz, trochę bez wyrazu jak zawsze w syntezach komputerowych. Twarz była sympatyczna, bez cech szczególnych, a gdy na zlecenie Telpa komputer zaczął ją obracać w ekranie, zobaczył profil, który był miły.

— W porządku — powiedział Terton.

— Zatrzymujemy więc go dla ciebie w razie awarii, której możliwość przewidujesz ty z Opiekunem.

— Zgoda — powiedział Terton i ekran zgasł.

A teraz ta twarz była jego twarzą i w nią wpatrywał się Telp. Terton wstał, podszedł do aprowizatora i zażądał dwu porcji soku. Jedną postawił na stoliku przed Telpem, a drugą zaczął pić małymi łykami.

— Nie rozumiem twoich zastrzeżeń, Kew. Ale jedno jest pewne. W takim układzie żyć nie chcę i pracować... jest trudno.

— Gdyby nie ten układ, już byś nie istniał.

— Nieprawda. Przerwałbym eksperyment. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Przekazałem sprawę Opiekunowi, a więc Światowej Radzie. Kontynuowałem eksperyment, bo miałem wasze gwarancje.

— Nie przerwałbyś, Jul. Wiesz, gdy byłem chłopcem,

wielbiłem cię. Byłeś moim ideałem. Potem, gdy dorosłem, spojrzałem na ciebie — Telp zawahał się na moment — bardziej realistycznie. Jesteś wielkim uczonym, jednym z najlepszych neuroników naszych czasów. O tym wszyscy wiedzą, od twoich studentów do twoich kolegów. I sam wiesz, czym twoja praca jest dla ciebie. Przecież ty nie masz przyjaciół, nikogo naprawdę bliskiego i daruj... żadnych poza pracą zainteresowań. Nie przerwałbyś eksperymentów wtedy i nie przewiesz ich teraz w tej może trochę uciążliwej sytuacji. I to jeszcze takich eksperymentów. Nie masz wyjścia, Jul.

— Niewiele wiesz.

— Więcej niż sądzisz. Jestem do ciebie podobny, tylko może nie tak zdolny i nie tak kanciasty.

Podejrzywałem nawet czasami, że może jesteśmy spokrewnieni.

— Nigdy ci nic takiego nie mówiłem.

— Ani moja matka. Zresztą, kiedyś było to dla mnie bardzo ważne. Teraz mniej...

— Więc dobrze. Jeśli jesteśmy do siebie tak podobni, zgodziłbyś się na to, w czym ja teraz tkwię?
Tutaj

— Terton wskazał na swoją głowę — jest jeszcze jeden człowiek. Nie widzę go, nie czuję jego obecności, ale wiem, że w każdej chwili, gdy zdrzemnę się, gdy zamknę na chwilę oczy, gdy hełm kontaktu z Opiekunem zawrze się na mojej czaszce, mogę przestać być. Pomyśl, trafiam w stan, który nie jest ani snem, ani śmiercią. To coś pośredniego. Nigdy nie wiem, czy się obudzę, bo przecież on może zrobić wszystko, nawet zabić siebie... i mnie. Zaczyna od

rozbijania automatów, ale również prowadzi eksperymenty, moje eksperymenty, a wiesz jakie to stwarza zagrożenie. I żeby chociaż to była śmierć. Dla nas, tych, którzy naprawdę myślą, jest to nieunikniona konsekwencja życia, a więc część życia samego wraz ze swoją nieodwracalnością i ostatecznością, zamknięciem nawiasu za wszystkim, co było. Ale zamknięciem ostatecznym. Natomiast to jest migotanie życia, zamykanie nawiasów bez ich otwarcia. Taka bezsensowna formuła. Po prostu groteskowa parodia życia. Ja nie jestem człowiekiem. Jestem... myślakiem, tworem, który jest człowiekiem, ale funkcjonalnie jest i automatem, bo można go przecież wyłączyć na jakiś czas.

— Cóż ci mogę powiedzieć. Nie każdy ogień płonie zawsze jasnym płomieniem, czasem przygasa i rozbłyska, ale jednak płonie.

— To nie jest odpowiedź. Zrób coś. Musisz coś zrobić! Przeprowadzić kolejny zabieg. Otwórz tę czaszkę i usuń jego, ogranicz go! Z tym żyć nie sposób!

— A myślałeś o nim? Przywołaliśmy go, przestał trwać, zobaczył świat, ludzi, siebie. Zaczął żyć.

— A ci, których tego pozbawicie, ci w chłodniach, oni także chcieli żyć i myśleli o życiu, gdy ich ciała trafiały do płynnego azotu. A wy rozczłonkowujecie ich, wbudowujecie w innych ludzi, a resztę palicie.

Spóźniony ceremoniał pogrzebowy po setce lat. Zabijacie ich, mój drogi, a przecież oni nie są martwi. Oni tylko trwają.

Telp pobladł trochę i Terton to zauważył.

— Wykorzystujemy tylko te ciała, o których wiadomo, że są niezdolne do życia.

— Nie żartuj. Co znaczy „wiadomo”? Wiadomo komu, współczesnej nauce? Gdy wkładano ich w azot, wiadomo było, że wszyscy są niezdolni do życia, a dzisiaj już tylko część, bo z resztą nauka dała sobie radę, a za sto, dwieście, tysiąc lat może wszyscy mogliby żyć. Oni praktycznie są przecież wieczni w tym trwaniu i czekaniu na przebudzenie.

— Jest to prawda techniczna, Jul, i tylko taka prawda. Człowiek może żyć, żyć naprawdę jak człowiek, tylko w czasach, w których się urodził i dorósł. Potem... potem jest zabytkiem, obiektem muzealnym. Nie rozumie nowego świata, ten świat jest dla niego obcy. Dla kogoś, kto przestałby trwać za tysiąc lat, być może, jedynym nieobcym miejscem byłby zoolog. A więc czy wolno nam ich budzić po tylu latach? Przecież to są ludzie, którzy po przebudzeniu chcą żyć, rozumieć. Chcą być szczęśliwi. Po to trwają. Nie po to, by w ogóle kiedyś się zbudzić — Telp umilkł na chwilę. — Wiele o tym myślałem i ja, i inni. Nawet teraz po niewiele, zaledwie po kilkudziesięciu latach jemu, Kornowi, tworzymy symulowaną rzeczywistość, która jest jego światem, takim, jaki znał. To jesteśmy im winni...

— To niech ma ją zawsze i tylko tę symulację świata, a nie świat rzeczywisty. Świat nie jego, tylko mój.

Zabiera mi moje dni, moje godziny, bo przemijamy nieuchronnie razem, on i ja.

— Dał ci tyle nowych godzin, tyle lat. Nie żałuj mu ich

Zresztą, nie wiemy, czy na pewno mamy rację?

— Nie rozumiem.

— Czy przewidywania nasze są słuszne, czy nasze sądy o człowieku, który zacząć być w nowej rzeczywistości, są prawdziwe?

— Sam to powiedziałeś.

— Wątpienie jest korzeniem nauki. My chcemy to sprawdzić. I dlatego Korn wygląda czasem na ten świat.

Terton milczał chwilę.

— A więc taka jest prawda? — powiedział w końcu.

— Tak. To także jest eksperyment. Eksperyment, który wreszcie może odpowie na pytanie, czy ci, którzy trwają, mogą potem żyć w tym obcym czasie, gdzieś między latami swego urodzenia a daleką

przyszłością, której kształt jest im w ogóle nieznany — Telp umilkł.

Terton patrzył poprzez kopułę na jezioro, gdzie chłopcy zepchnęli już na wodę łódź, podnieśli żagle i odpłynęli, a ich łódź była teraz tylko białym punktem na tle czarnoniebieskiej wody jeziora.

— Tak, teraz rozumiem, że cała nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa. Nic w tym wszystkim nie zmienisz, bo nie chcesz i pewnie nie możesz nic zmienić. Ale dlaczego ja? Dlaczego mnie wybrałeś, ty czy ktokolwiek?

— A gdybyś był na moim miejscu, potrafiłbyś odpowiedzieć?

— Nie wiem. Ale jak z tym żyć?

— Po prostu żyć. Nie myśl, że ty jesteś pierwszy. Natura

dawno wskazywała już na tę możliwość. Znamy co najmniej kilka przypadków. Mówię tylko o tych zbadanych i dobrze opisanych. W zeszłym wieku we Francji w Loteré żyła kobieta o dwu absolutnie różnych uzewnętrzniających się na zmianę osobowościach. To były dwie różne istoty w jednym ciele. I dożyła późnych lat. Oczywiście, znamy tylko przypadki z tego i zeszłego wieku. Inne zniknęły w zakładach zamkniętych i spłonęły na stosach inkwizycji. Terton milczał.

— I wiesz, Jul, co ci jeszcze powiem? Ty sobie poradzisz. Ale ten chłopiec... Żał mi go trochę.

Terton roześmiał się i śmiał się tak głośno, że Telp spojrzał na niego zaniepokojony.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nic — Terton śmiał się dalej. — Tylko ty przypominasz mi starą kobietę, która ścinając w ogrodzie kwiaty do wazonu, przeżywa równocześnie to, że muszą w nim zwiędnąć.

— No, wiesz. A zresztą mówiłem, że ty sobie z tym dasz radę, Jul. Dlatego właśnie przestałem cię kiedyś wielbić. Bóstwa muszą być wielkie, wspaniałe i trochę niezaradne w swej wspaniałości.

— Mimo wszystko to zabawne, Kew. Eksperyment w eksperymencie. Przerosłeś mnie chyba. Ja bym tego nie wymyślił. Tak, mój drogi, młodzi zawsze przerastają swoich ojców i tworzą problemy, które potem sami i ich następcy muszą rozwiązywać. Cóż, na razie mam cię dosyć.

— Przykro mi, Jul... naprawdę.

— Nie martw się, pewnie to minie — wstał. — Muszę

jednak trochę poznać tego Korna — powiedział — w końcu dzięki tobie on także steruje moim ciałem.

— Wszystko to, co wiedzieliśmy o nim, czym był, jaki był, zostało ci przekazane.

— Nie o to mi chodzi. Muszę wejść w jego symulowany świat. Jego działania tutaj są jakoś

warunkowane tym, co tam się dzieje. Muszę to znać i zrozumieć.

Tę się zawahał.

— Tak sądzisz? I będziesz umiał się poruszać w tamtym innym świecie?

— Każdy z nas miał doświadczenie z fantotronem. To przecież jest to samo.

— Niezupełnie. W fantotronie masz strukturę daną, a wpływasz tylko na proces. Tak jak w życiu. Świat jest zastany i tylko możesz w nim działać.

— A tam... u niego?

— Tam możesz wpływać również na strukturę. To tak jakbyś myślą mógł zmieniać rzeczywistość. Po prostu za mało wiemy o jego czasach, o tych wszystkich szczegółach decydujących o tym, że taki świat może on odbierać jako prawdziwy i własny. Dlatego, gdy o czymś pomyśli, wyobrazi sobie coś, co było w tamtym świecie, o czym my nie wiemy, wchodzi to do struktury.

— Rozumiem. Gdyby na przykład wyobraził sobie hipopotamy na ulicach miast jego czasów, to one się tam pojawią.

— Właśnie.

— Zabawne. Dużo już tego wymyślił?...

— Nie, uzupełnia tylko stale swój świat szczegółami.

— Dobrze. A co ze sprzecznościami? Gdyby na przykład wyobraził sobie, że przenika przez ściany albo że hipopotamy mają sześć nóg...

— Sprzeczności obiektywnie weryfikowalne są wychwytywane i niewprowadzane.

— A sprzeczności logiczne?

— Z tym jest kłopot. Ale w końcu to nienowoty problem. Błędy syntaktyczne można rozpoznać i nie wprowadzać. Sprawa błędów semantycznych pozostaje otwarta.

— Tak. Rozumiem, więc jak tam się dostać do tej symulowanej rzeczywistości?

— To też nie jest proste. Po każdym włożeniu hełmu kontaktowego następuje wywołanie jego osobowości. Gdy w chwili włączenia istniejesz ty, przestajesz być, gdy jest on, pozostaje.

— Rozumiem, więc jak?

— Czy uważasz, że naprawdę jest to konieczne?

— Tyle chyba dla mnie możesz zrobić?

Telp się zawahał.

— Kew — powiedział Terton — to wszystko, co dotąd się stało, mogę zrozumieć. Może nawet sam postąpiłbym tak właśnie, gdybyś nawet ty był obiektem takich działań. Ale to, to, o co cię proszę, możesz chyba zrealizować, dla mnie, dla Juliusa Tertona, którego znasz niemal od swego urodzenia i chyba trochę lubisz.

— Dobrze — Telp zdecydował się. — Wprowadzę poprawkę do programu, ale tylko na jedno wywołanie.

Pamiętaj, że

w tamtym świecie jesteś Kornem i jesteś od niego nierozróżnialny.

— To oczywiste. Wiem. Dziękuję, Kew. Żegnaj! — wstał i nie patrząc więcej na tamtego wyszedł.

Spojrzał na jezioro, ale białego punktu żagla nie dostrzegł. Budynki Centrum Nasłuchu Kosmicznego na drugiej stronie wody rozmazały się w oparze wstającym z jeziora.

Gdy szedł do swego łazika, wiedział już, co zrobi.

VII

W drodze powrotnej i w czasie obiadu przemyślał tę sprawę. Ostatecznie zdecydował się późnym popołudniem, bo miał już ją przemyślaną do końca razem ze wstępnymi testami, które starannie dobrał do elementów zasadniczych, tak by stanowiły pewną całość. Oczywiście, dla istoty sprawy było to może bez znaczenia, ale z drugiej strony nie widział powodu, żeby nie zrealizować tego w taki sposób, by poza osiągnięciem celu uzyskać konstrukcję, która by mu się podobała. Gdy już był zdecydowany, wezwał

automat i polecił mu założyć hełm w to samo miejsce, z którego go wczoraj usunął. Pomyślał, że automat wykonuje polecenie nie zadając pytań i to jest jego przewaga nad człowiekiem. Nasunął hełm na głowę, docisnął elektrody i... znalazł się w dziwnym mieszkaniu, z którego okien było widać miasto, a dalej las i pola. Pomyślał, że Kew dotrzymał obietnicy i ucieszył się.

— Jesteś już. Jak twoje eksperymenty? — powiedziała to kobieta, która nadeszła gdzieś z głębi mieszkania i pocałowała go ma dzień dobry w policzek. Nie spodziewał się tutaj spotkać kogoś takiego i pomyślał, że Korn ma, a właściwie miał szczęście.

— Jakaś ty piękna — powiedział.

— Co... Stef, co ci się stało? — była zdziwiona.

— Codziennie będę ci to powtarzać, bo to jest prawda — równocześnie zastanawiał się, jak dowie się jej imienia.

— Powinieneś częściej łączyć się z nadsystemem — powiedziała i spostrzegł, że jest szczęśliwa. „Może ona naprawdę go kocha — pomyślał. — Oczywiście, tak jak może kochać personifikacja Opiekuna, a więc do chwili zdjęcia hełmu”.

— Przygotowałam ci obiad — powiedziała.

— Dziękuję. Jadłem tam — spostrzegł, że zrobił jej przykrość, ale nie lubił tego wprowadzania płynów odżywczych do organizmu w czasie seansu, którego symulowanym odzwierciedleniem były posiłki —

zresztą, oczekuję odwiedzin.

— Nic nie mówiłeś...

— To taki stary kolega, może trochę egzotyczny, ale jeśli się zjawi, mam z nim pewne tematy do omówienia.

— Jakie?

— Nieważne. Takie popołudniowe dyskusje. Nie zdziw

się tylko jego wyglądem. — Usiadł w fotelu i pomyślał, że powinien oprzeć głowę na swojej kolorowej poduszce wyszywanej w smoki. Poczul miękki dotyk pod głową i nie spojrział nawet na nią, bo wiedział, że smoki są na właściwym miejscu. „A więc struktura się zmienia — pomyślał — w zwykłym fantotronie trzeba by poduszkę przynieść jak w życiu”.

— Przygotuję wam może kawę — powiedziała dziewczyna.

— Muszę cię jakoś nazwać, tak, by to nowe imię było bliżej ciebie...

— Koma ci już nie odpowiada?

— To także piękne imię, ale może wymyślę coś jeszcze.

— Nie masz się czym zajmować, Stef? — udawała, że jest niezadowolona, ale wiedział, że udaje.

„No, czas na niego” — pomyślał. Wymyślił go i wiedział, że zadzwoni zaraz do drzwi. Wiedział także, jak będzie wyglądać, bo takim go właśnie wymyślił. Poduszka była testem numer jeden. Wymyślony wygląd obiektu testu numer dwa był na granicy błędu syntaktycznego, ale właśnie chciał sprawdzić, na ile elastyczne są filtry syn-taktyczne struktury. Obiekt nie stanowił bowiem niemożliwości syntaktycznej, lecz z drugiej strony prawdopodobieństwo jego pojawienia się tutaj było bliskie progu takiej niemożliwości.

Usłyszał dzwonek, tak jak chciał. Sam poszedł otworzyć drzwi i obiekt był.

— Proszę, wejdz. Dawno się nie widzieliśmy — powiedział.

Spojrzął na Komę i zobaczył jej zdziwienie. Na progu stał Aztek w stroju sprzed wieków, w pióropuszu z piór z ogona egzotycznego ptaka meksykańskiego, którego nazwy nie pamiętał, ale pamiętał wygląd pióropusza i to wystarczyło.

„W porządku — pomyślał — pojawienie się w mieście kogoś tak ubranego filtry syntaktyczne dopuściły.

To, co on powie, jest już błędem syntaktycznym tej rzeczywistości, ale widocznie informacje takie nie są sprawdzane, tylko pobierane bezpośrednio z centralnych mnemotronów, gdzie oczywiście te fakty są i mu-szą być, jak wszystko, o czym wie nasza cywilizacja”.

— Siadaj — powiedział do Azteka i wskazał mu krzesło, które tamten wypełnił sobą.

— Co on tutaj robi? — zapytała Koma.

— Nie przeszkadzaj, miła. Sama zobaczysz. Chodzi mi o czasy między „dwunastym domem” a „trzecim domem” — powiedział do Azteka.

— A więc także o „trzynastego królika”, „pierwszą trzcinę” i „drugi nóż krzemieny” — Aztek mówił

dziwnym trochę chropowatym głosem.

Terton pomyślał, że brzmienia głosu nie określił, ale zaraz wyobraził je sobie tak, jakby chciał je słyszeć.

— Tak — odpowiedział tamten.

— Lata 1514—1521 — powiedziała Koma. — Skąd u ciebie te zainteresowania, Stef?

„Sprawny jest ten Opiekun — pomyślał Korn. — Już rozpoznał, o czym mówimy”.

Wynik testu był pozytywny. Mógł zatem przerwać tę zabawę wysyłając Azteka w świat, za drzwi tego mieszkania,

ale chciał, by Koma posłuchała jeszcze, co Aztek ma do powiedzenia, bo przepowiednia Azteka była dekoracją jego planu.

— Opowiedz, jak to się zaczęło? — powiedział.

— Jeszcze na dziesięć lat, zanim przyszli tu Hiszpanie, naprzód ukazała się pierwsza straszna wróżba na niebie, ma kształt ognistych kłosów kukurydzy, na kształt zawieszonych chust ognia, na kształt rozpostartej zorzy porannej, tak że zdawało się, jakoby niebo bodła, u dołu szeroka, w głowach spiczasta — Aztek mówił

równym, dźwięcznym, wyważonym głosem.

— To było światło zenitalne lub zorza polarna. Nie ustalono tego nigdy dokładnie — wtrącił, ale tamten mówił dalej.

— Szczególnie w środku nieba, szczególnie serce nieba chwytala. I tak widziano tam na zachodzie, jak się tu zbliżała i znów oddalała o północy. Aż ukazała się jutrzienka na świtaniu, dopiero to słońce ją zniszczyło. Gdy tu przyszła, podnosiła się przez cały rok. Zaczęło się to w roku „dwunasty dom”. A kiedy się ukazała, podniósł się krzyk ludzi, uderzył z ust, przestraszyli się; czegoś oczekiwali. Druga straszna wróżba zjawiała się tu, w Meksyku. Stało się to samo z siebie: zapłonął jasny ogień, nikt go nie rozniecił, stało się to samo z siebie w domu Kolibra z Południa.

— To był Bóg Miasta — powiedział Terton.

— Wiem, nie przeszkadzaj — Koma słuchała uważnie.

— Okazało się — mówił Aztek — że zapłonął słup drewniany. Z wnętrza wyszły ogniste kłosa kukurydzy, ogniste języki, rozwinięte wstęgi ognia. Bardzo prędko strawiły one wszystkie belki domu. I wtedy podniósł

się krzyk ludzi. Tak wołali: „Ludzie, biegnijcie tu, aby gasić, z waszymi dzbanami na wodę”. A kiedy lano wodę, chcąc gasić, tym więcej buchało, nic nie gasło, bardziej płonęło.

Trzecia straszna wróżba: Piorun uderzył w dom boży, dom kryty słomą, w świątynię Pana Turkusów.

Rzadki deszcz mżył. Poznano w tym złą wróżbę.

Czwarta straszna wróżba: Gdy jeszcze słońce tam było, spadł płomienny turkus na trzy części podzielony.

— Potem uczeni orzekli, że był to meteor — powiedział Terton i patrzył na Komę. — Meteor może upaść wszędzie — dodał.

— Stamtąd — Aztek mówił dalej — tu przyleciał, od zachodu słońca i biegł tam, na wschód, podobny do delikatnego deszczu kwiatów ognistych. Daleko ciągnęły się jego warkocze. I gdy to zobaczono, podniósł się wielki krzyk ludzi i rozszedł się jak gdyby niewyraźny szmer.

— Wystarczy — powiedział Terton.

Indianin zamilkł.

— Mów dalej — prosiła Koma.

Tego Terton nie przewidział.

— On się spieszy — powiedział Terton. — Za godzinę odlatuje stratorem.

— Samolotem, chciałeś powiedzieć — poprawiła Koma.

— Nie, tak bardzo się nie spieszę, odezwał się Aztek. —

Wiesz, Korn, nie pamiętam, gdzie ciebie spotkałem.

„Opiekun przejmuje inicjatywę”, — pomyślał Terton i był zły, bo tego nie było w jego planie.

— Nie pamiętasz? Przy piramidach w Teotihuacan. Jesteś tam przewodnikiem turystów — Terton postanowił podsunąć Opiekunowi to wyjaśnienie. — To przesada, że przyleciałeś do nas w stroju roboczym

— dodał jeszcze.

— Pozwolicie, że zdejmę pióropusz — powiedział Aztek i położył go na podłodze. — Nie wiem, po co tu przyszedłem. Zdaje się, że zawsze odwiedzam Korna, jak jestem w mieście.

— Tak. Nie pamiętasz go, Koma — dodał Terton. — Wydawało mi się, że rozmawiałaś z nim, gdy tu był

ostatni raz.

— Możliwe — powiedziała Koma.

— Jego trudno nie pamiętać. Wtedy, tak jak dzisiaj, spieszył się na samolot.

— Tak, przypominam już sobie — powiedziała Koma, a Aztek wstał i podniósł pióropusz.

„Przebrnąłem jakoś przez weryfikację Opiekuna — pomyślał Terton. — Mam szczęście, że jest to tylko automat, wielki automat — i dla niego to, co nawet najbardziej niezwykle, jeśli jest w jakiś sposób weryfikowalne, natychmiast przestaje być niezwykle. Z człowiekiem byłoby trudniej”.

— Idę już — powiedział Aztek. — Do następnej wizyty.

— Żegnaj. — Terton odprowadził go do drzwi i zamknął je starannie za nim.

Gdy wrócił do pokoju, Koma siedziała w fotelu. Patrzyła wprost na niego.

— Jesteś jakiś inny, Stef — powiedziała. — Dlaczego?

— Jestem może trochę zmęczony i jeszcze muszę pracować.

— Teraz?

— Tak.

— Co będziesz robił?

— Będę liczył.

— Co?

— Nigdy nie byłaś taka ciekawa, Koma. Po prostu prowadzę obliczenia do dalszych eksperymentów.

— Sam? Bez kalkulatorów?

— Tak, to proste obliczenia.

Wyszła do kuchni, a on usiadł za biurkiem. Sięgnął po papier i pióro kulkowe, którego sam czasem w prawdziwej rzeczywistości używał. Tutaj oczywiście pióro takie było, bo należało do tej rzeczywistości.

„Gdyby było to w ogóle możliwe, zabrałbym je stąd” — pomyślał Terton. Miał takie pióro tylko jedno, z trudem znalezione wiele lat temu w antykwariacie. „Przecież to pióro i cała reszta jest tylko ułudą” —

pomyślał jeszcze i wiedział, że urządzenie tworzące tę ułudę jest tylko niewiele mniej skomplikowane od ludzkiego mózgu, a pracuje miliony razy szybciej i dlatego ułuda ta jest tak doskonała, że nawet jemu, staremu manipulatorowi i profesorowi neuroniki, podsuwa nierealne pragnienia.

Zaczął liczyć. Obliczenia nie były trudne, ale odwykł

już od takiego liczenia. Kalkulatorowi przekazywać tego nie chciał, bo wtedy obciążyłby obliczeniami Opiekuna, a tak liczył to w swojej prawdziwej głowie spoczywającej naprawdę pod hełmem i tylko rezultaty trafiały do symulowanej rzeczywistości.

Zaczął od masy, która dałaby taki efekt, jak chciał, potem uwzględnił straty w atmosferze i prędkość wejściową. Zaraz po wstępnych wynikach zrozumiał, że rozpad bryły musi nastąpić już w atmosferze.

Powiększał więc beztrąsko masę tak, żeby to, co przejdzie przez atmosferę, jeden choćby odprysk, spełniało założenia. Wyszła mu apokalipsa. Sprawdził założenia i obliczenia, ale były poprawne. Tak był zajęty pracą, że nie spostrzegł Komy, która podeszła i stanęła za jego fotelem. Poczuł jej dłoń na włosach i wtedy się odwrócił. Ale ona nie patrzyła na niego. Patrzyła na biurko, na papier, tam, gdzie był wóz Einsteina, a potem jego przekształcenie, takie, by masa znalazła się po lewej stronie symbolu równości zastępując tam energię.

Wiedział, że spostrzegła to, lecz jeszcze nie rozumiała. Podniósł się z fotela i zasłonił sobą kartki.

— Czekaj, Stef — powiedziała. — Liczysz coś interesującego.

„Nie może tego zobaczyć — pomyślał. — Te informacje od niej dostaje wprost Opiekun. Nie może...”

Uniósł ją lekko, bo wbudowany w jego ciało nadmiar mocy obowiązywał także tu, w symulowanej rzeczywistości.

Patrzyła na niego zdziwiona, gdy niosąc ją szedł ku oknu.

„To fantom. To tylko fantom” — powtarzał w myśli.

Zrozumiała, gdy doszedł do okna. Krzyknęła i zobaczył w jej oczach strach. Chciała się wyrwać, ale on był silniejszy.

— Stef... — wypchnął ją na zewnątrz. Krzyknęła coś jeszcze, a potem była już zbyt daleko w dole, by mógł ją słyszeć.

— To przecież fantom, nie człowiek — powiedział jeszcze raz półgłosem. „Gdy wyłączam rzutnik i z ekranu znika twarz ukochanej dziewczyny — pomyślał — to przecież nie zabijam jej przez to. Tamten obraz i ta dziewczyna, Koma, są takimi samymi fantomami. Inna jest tylko złożoność aparatury, która je generuje. To wszystko”. Ale wiedział, że jednak gdzieś może być różnica i czuł się tak, jakby zabił człowieka.

Teraz musiał działać szybko. Symulowana rzeczywistość musi reagować tak, jak kiedyś działał oryginał.

Nie wiedział co prawda, co czyniono z takimi jak on w tamtych czasach, ale na pewno społeczeństwo ściagało ich. Tu reakcja musiała być taka sama. Zebrał swoje wyliczenia i wybiegł do windy.

W windzie nie było nikogo i patrząc na mrugające numery pięter czekał, aż winda osiągnie parter. Na dole w przeszklonym holu mała dziewczynka jadła lody, a jacyś ludzie, zapewne jej rodzice, wytaczali na zewnątrz spacerowy wózek. Minął ich w drzwiach, które drgały w krótkich szarpnięciach usiłując się zewrzeć, do czego nie

dopuszczał czuwający automat wykrywający fotokomórką obecność ludzi. „To wszystko fantomy — pomyślał — takie same dekoracje, jak te budynki”.

Z boku wieżowca spostrzegł zbiegowisko. Nie podszedł tam nawet, tylko szybkim krokiem ruszył w kierunku ogrodów, które widział z góry, z okna. W ogrodach tych wyobraził sobie swój schron na wiele setek metrów wpuszczony w podłoże, opancerzony z zewnątrz nawisami zbrojonego betonu z klimatyzacją i ekranem, sztolnie wyjść zapasowych i ładunki prochowe przeznaczone do ich przedmuchu, gdyby uległy zasypaniu gruzem. Pomyślał, że zapewne zaplanował to wszystko zbyt prosto, bo naprawdę nie wiedział, jak budowane były schrony w tamtych czasach, ale w końcu to nie miało większego znaczenia. Konstrukcje mógł zawsze uzupełnić niezbędnymi szczegółami wyobrażanymi sobie w miarę zmieniających się potrzeb, a jedynym uwarunkowaniem, które musiała od początku spełniać, była ochrona przed pierwszym udarem.

Jedynie to było naprawdę istotne. Nie bał się symulowanej śmierci, ale bał się symulowanego bólu, który był nierozróżnialny od prawdziwego.

Ponadto, co najważniejsze, nie wiedział, jak przebiega w symulatorze zakończenie seansu w przypadku śmierci jego bohatera. Najbardziej prawdopodobne było rozwiązanie takie jak we śnie, gdy spadając z wysoka ku nieuniknionej śmierci, po prostu się budzimy. Wolał jednak nie ryzykować nie mając pewności, tym bardziej że istniał jeszcze Korn, któremu być może odciąłby możliwość wejścia w tę symulowaną rzeczywistość, uśmiercając od razu symulowane ciało, które wypożyczył. Jego plan był inny, bardziej złożony i wyrafinowany. Ta symulowana rzeczywistość miała pozostać nadal otwarta i dostępna, ale zarazem taka, w której Korn nie będzie chciał być. „To oczywiście uniemożliwia eksperyment Telpa — pomyślał — a w realnej rzeczywistości Korn jest niepotrzebny. On, Terton, jest tym, który naprawdę wie, czym jest nadsystem. Korn jest tylko debiutantem i to niedouczone debiutantem”.

Ulica kończyła się ślepo wejściem do ogrodów. Tak właśnie zapamiętał ją patrząc z okna z góry, z perspektywy kilkunastu pięter. Teraz przy bramie, za którą zaczynały się drzewa, odwrócił się i spojrzął za siebie na białe sylwetki wieżowców. W jednym z nich, tych z pierwszego szeregu, było to okno. Nie wiedział

dokładnie które. „Dekoracja, nowoczesna wycinanka z prądów i reakcji mego mózgu” — pomyślał i wszedł

w bramę.

To nie był ogród, tylko cmentarz. Stary cmentarz, jeden z tych, które odwiedzał czasami w mieście, gdzie kiedyś mieszkał i wykladał neuronikę stosowaną na równie starym jak cmentarz uniwersytecie.

Chodził tam wtedy ma spacerować w pogodny jesienny dzień, gdy drzewa nie były już ani zielone, ani jeszcze żółto-czerwone. Pamiętał zarosłe trawą ścieżki i obce nazwiska, a także daty z przeszłości, które widywał

również wypisane w historycznych książkach.

„Nieszczerze miejsce wybrałem sobie na swój przytułek — pomyślał. — Ale przecież te płyty tutaj, ten cały

cmentarz to także jest zwiędnięty przed chwilą przez generator fantomatyczny, dlatego że przyszedłem właśnie tutaj i także dlatego, że taki cmentarz był w mieście Korna, w takim właśnie miejscu, ileś dziesiątków lat temu w przyszłości i być może tysiące kilometrów stąd”. Swoją schron zaplanował w pobliżu bramy po lewej stronie, pod kępą drzew, ale jeszcze przed nią, tak by drzewa nie zasłaniały mu widoku. Idąc do schronu zauważył, że płyty nagrobków są stare, porośnięte mchem, lecz bezimiennie. „To jest właśnie ta luka informacyjna — pomyślał — ten brak danych w generatorze fantomatycznej wizji, którą on, Terton, a właściwie Korn, może wypełniać”.

Pomyślał sobie, że na najbliższej płycie zobaczy swoje imię i nazwisko z rokiem urodzenia, i gdy doszedł

do niej, wszystko to było już na niej, ale płyta była nowa, inna niż pozostałe. Zatrzymał się chwilę zdziwiony i wtedy zrozumiał. Generator uzupełnił rok urodzenia rokiem śmierci, postępując sensownie, bo ktokolwiek mógł tu zajmować miejsce, obie te daty miał ustalone. Z braku innych danych generator dopisał

rok, który był zarówno rokiem urodzenia jego, Tertona, jak i symulowanej rzeczywistości, a w konsekwencji tego odnowił płytę, którą, wywnioskował, dopiero co położono, a więc pozbawił ją mchu, zacieków i tego wszystkiego, co jest miarą czasu, który minął.

„Miewam idiotyczne zachcianki” — pomyślał i nagle zrozumiał, że był o krok od sprzeczności i błędu syntaktycznego. „Dobrze, że żyłem już w czasie, który jest

119 reprezentowany przez tę symulowaną rzeczywistość — pomyślał. — Gdybym urodził się rok później, a więc w przyszłości względem tego czasu, nastąpiłaby sprzeczność i koniec seansu. A tak umarłem jako niemowlę. Muszę bardziej uważać i nie generować idiotyzmów”.

Wejście do schronu było dokładnie tam, gdzie je zaplanował. Nacisnął przycisk i ciężkie pancerne drzwi rozsunęły się. Za nimi była oświetlona winda, czekająca na niego. Na ścianie windy zobaczył tylko dwa przyciski wskazujące „górę” i „dół”. Nacisnął ten drugi i poczuł charakterystyczną zmianę ciężaru ciała jak we wszystkich windach ruszających z dużą szybkością. Jazda trwała chwilę, kilkadziesiąt sekund może.

Winda stanęła, a gdy z niej wyszedł, był w okrągłym pomieszczeniu z wielkim ekranem zajmującym trzecią część ścian. Poza ekranem wewnątrz nie było niczego, bo nic nie zaplanował. W ekranie widział miasto, wieżowce i drzewa na skraju cmentarza. Wieżowce były jakby bliżej i pomyślał, że musi to być charakterystyczne dla tej aparatury, której w szczegółach poza ściemniającymi

przesłanami obiektywu nie precyzował. Generator wzory takiej aparatury zaczerpnął zapewne wprost z centralnych mnemotronów.

Popatrzył raz jeszcze na miasto, skupił się i wyobraził sobie meteor nadlatujący gdzieś z głębi Kosmosu.

Była to bryła antymaterii o masie, którą poprzednio wyliczył. Jej szybkość sięgała kilkudziesięciu kilometrów na sekundę, a trajektoria poprzez atmosferę mierzyła gdzieś w horyzont, który widział poza wieżowcami. Bryła docierała już do atmosfery. Wyobraził sobie to wszystko i przez moment nic się nie działo. Zdażył pomyśleć jeszcze, że być może popełnił jakąś sprzeczność, gdy nagle niebo rozcięło kilka oślepiających wstęg od zenitu aż do samego horyzontu. Powstały niemal momentalnie i były tak jaskrawe, że blask Słońca wydawał się przy nich światłem świecy w słoneczne południe. Wstęgi rozděły się, aż objęły atomowym ogniem całe niebo. Oślepiiony blaskiem, po chwili dopiero dostrzegł, że wokół na ziemi, drzewach, trawie zabłysły płomyki, jakby jednocześnie zapalono miliony świeczek. Mały płomyk leciał w powietrzu. Terton uświadomił sobie, że jest to ptak zapalony w locie. Patrzył jeszcze na ten lecący ognik, gdy nagle domy przełamały się u podstawy i runęły w jego kierunku nie tym powolnym osuwaniem się wysadzanych w powietrze budynków, lecz uderzone z tyłu potężną siłą leciały we fragmentach w jego stronę. Wszystko, czego dosięgały, wyrwane z ziemi pędziło ku niemu. Zobaczył jeszcze, jak rozpadał się mur cmentarza i ekran zgasł. Uświadomił sobie wtedy, że wszystko to trwało kilkadziesiąt sekund, mniej niż minutę. Wcześniej jeszcze poczuł, że podłoga usuwa mu się spod nóg. Z trudem zachował równowagę. Grunt drżał i słyszał głuchy dudniący łoskot. Był myślącym człowiekiem, który znał

historię, lecz wtedy dopiero, patrząc na ten symulowany świat z atomowym ogniem, pojął czego uniknęła ludzkość w tamtym wieku, który skończył się przed jego urodzeniem.

„Tego nie można było zacząć, by coś zagarnąć lub zdobyć, bo nic takiego po tym już nie istnieje, ale mógł to zacząć, ktoś taki jak ja, którego świat kończy się i rozpada, a to, co może być nadchodzącym światem, jest inne, obce i straszne. Wtedy każda szansa wstrzymania tego nadejścia wystarcza”.

Czekał jeszcze godzinę, aż huragan na górze ustanie i myślał o wielkości tych, którzy w dawnym prawdziwym świecie znaleźli drogi bez atomowego ognia, o tych wszystkich bohaterach Ziemi, którzy tego dokonali.

Potem odpalił ładunki prochowe i odsłonił otwór szybu prowadzący na zewnątrz. Nieskończonym szeregiem klamer wbitych w betonową ścianę szybu pisał się wzwyż odpoczywając na małych półkach zamocowanych co dwadzieścia metrów. Wreszcie w otworze szybu zobaczył niebo, szare, brudne chmury, przez które z trudnością przechodziło światło dnia. Gdy wychylił głowę z otworu szybu, poczuł na czole mokry ślad. Dotknął go palcami. Był to płatek tłustego błota padającego jak deszcz. Wyobraził sobie, że ma w kieszeni licznik Geigera i jednocześnie niemal usłyszał jego trzaski, tak szybkie, że niemal nie-rozróżnialne. W następnym momencie licznik zamilkł zablokowany nadmiarem impulsów promieniowania nadchodzącego z zewnątrz. Rozejrzał się wokół. Widział tylko błoto — faliste wzgórza błota rozciągające się po horyzont — szare niebo, które całe było atomowym grzybem.

Chciał jeszcze przejść kilkaset metrów, ale poczuł, że nie wytrzyma tu dłużej. Postanowił wrócić do

rzeczywistości, obudzić się.

Lecz nawet potem, gdy hełm zsunął się z jego głowy i leżał na swoim tapczanie patrząc przez okno na słońce znikające za szczytami gór, wiedział, że nigdy nie zapomni tego, co widział tam w symulowanym świecie, który zniszczył.

„To przecież tylko symulator — powtarzał sobie. — Pilot, który w symulatorze lotu spowoduje katastrofę, wychodzi z kabiny symulatora, wypija szklankę soku, gawędzi z kolegami, potem jedzie do miasta na spotkanie z dziewczyną i nie myśli już o symulowanej katastrofie. A to także jest symulator, i całe to atomowe błoto jest tylko drganiem prądów w pamięciach i przetwornikach informacji. Niczym więcej”.

A jednak myślał o tym jeszcze, gdy była już noc i gwiazdy były nad pustynią. Nad ranem zasnął.

VIII

Wpadł po kolana w błoto. Było lepkie i bezwonne. Nie spodziewał się tego. Stał bez ruchu i rozglądał się wokół. Dookoła widział pagórki bez śladu drzew czy roślin, takie same monotonne aż do horyzontu. Słońce było w zenicie, ale świeciło czerwoną tarczą poprzez gruby opar i było tak czerwone jak czasem przy zachodzie. W kieszeni czuł mały prostokątny przedmiot, który wydawał nieregularne trzaski. Wyjął go i rozpoznał. Był to licznik Geigera.

„Gdzie ja jestem? — pomyślał Koron. — Dziwne słońce, promieniowanie. A może to nie jest Ziemia albo Ziemia

w innym czasie?”. Dawniej w swoich czasach czytywał fantastykę naukową i te skojarzenia nadeszły same.

„Niemożliwe — pomyślał — coś się musiało stać. To promieniowanie... I gdzie jest miasto... Koma...?”

Z oddali usłyszał warkot silnika i może kilometr dalej zobaczył nisko lecący helikopter. „Nie zauważy mnie — pomyślał. — Gdybym miał lusterko...”

Helikopter mijał go, mimo że wymachiwał rękoma. Wyobraził sobie lusterko, którym sygnalizuje i nagle trzymał je w ręku. Nie zdążył się nad tym zastanowić, bo helikopter był już daleko. Skierował w jego kierunku odbity promień słońca i poruszał lustrem delikatnie, tak by promień choć przez krótką chwilę trafił w kabinę.

Helikopter zatoczył łuk i teraz nadlatywał wprost na niego. Strumień powietrza uderzył go z góry.

Potem helikopter zawisł nad nim nieruchomo kilkanaście metrów w górze i z kabiny rzucono mu drabinę.

Wspiął się po niej szarpany zawirowaniami wiatru śmigieł i dwu ludzi wciągnęło go do środka. Obaj byli w skafandrach i mieli na głowie hełmy. „Jak kosmonauci” — pomyślał. Pilot był w takim samym skafandrze.

Gdy Korn był już w środku, pilot poderwał maszynę wzwyż i skierował na północ.

— Skąd się tu wzięłeś? — zapytał jeden z ludzi. Jego głos docierał do Korna przez mały głośnik umieszczony u nasady hełmu.

— Nie wiem. Po prostu wpadłem w to błoto,

— Tu nikt nie przeżył. Nic nie zostało — powiedział drugi. — Musisz powiedzieć, jak tu trafiłeś.

— A co z miastem? — zapytał Korn. — Mieszkałem w tym mieście.

— Nie ma. Był wybuch. Niczego nie ma.

— Jaki wybuch?

— Jądrowy. Dlaczego, nie wiemy.,

— A ludzie. Ci, co tam byli?

— Wszyscy zginęli.

— Mieszkałem tam — powtórzył Korn.

— Gdzie przetrwałś wybuch? To chcę wiedzieć — powiedział znowu ten pierwszy.

— Tam, w prawdziwym świecie.

Ludzie w skafandrach spojrzeli na siebie.

— Nie wiem, dlaczego ty żyjesz — powiedział drugi. — Nawet jeśli przetrwałś wybuch, to przy tym promieniowaniu...

Korn nie słuchał go dalej. Pomyślał, że Komy nie ma i nie będzie, tak jak nie ma jego miasta i wszystkiego, co pamiętał.

„Moje czasy, moje prawdziwe czasy, wróciły na swoje miejsce, w niebyt — pomyślał. — I teraz jestem już naprawdę sam. Dla mnie to, co istniało tutaj, było nie tylko złudzeniem. To była druga rzeczywistość, ta istotna, bo własna, znana. Ale jeśli oni mogli ją raz odtworzyć, mogą znowu. A może nie chcą. Może zrobili to wszystko celowo, właśnie mnie... Tylko po co? Może to jest eksperyment i nie wykonałem czegoś, tak jak należało. Jak ze szczurem. Prawidłowa odpowiedź — nagroda. Błędna — kara. To się nazywa wzmocnienie.

Ale chyba nie eksperymentują ze mną w ten sposób? Jestem człowiekiem i oni są ludźmi”.

Patrzył na ciągnącą się za horyzont czarną równinę, na ludzi w skafandrach, którzy z kabiny prowadzili pomiary i wymieniali jakieś uwagi i wyobraził sobie nagle, że Koma jest przy nim.

Coś trzasnęło jak pękający balonik. Obraz znikł i Korn będąc w szarej bezpostaciowej przestrzeni usłyszał głos.

— Sprzeczność. Koniec seansu.

Leżał na tapczanie w tym dziwnym obcym mu pokoju Tertona, a zza gór nadchodził świt. Potem wizeofon brzęczał kilkakrotnie sygnalizując, że ktoś chce go zobaczyć, ale on leżał nieruchomo wpatrzony w sufit.

„Jej po prostu nie ma i już nie będzie — pomyślał. — Takiego świata nie niszczy się tak sobie. To zniszczenie było zbyt dokładne, zbyt ostateczne. Nie bawiła się w piasku, nie pisała doktoratu ta dziewczyna Koma, która równocześnie istniała i nie istniała. Personifikacja Opiekuna, taka sama jak my, ludzie. A przecież my tylko dlatego jesteśmy inni, że odrzuciliśmy hipotezę o personifikacji

Opiekuna odnośnie nas samych. Dlatego stanowimy wartość samą w sobie, wartość ostateczną. A ich można usuwać, niszczyć, przekształcać i dopowiadać, bo są wtórni, mimo że są tacy sami. Za to oni są niezniszczalni, tak niezniszczalni jak sam Opiekun i dlatego mogłem rozmawiać z Kar, widzieć ją, dotykać, gdy naprawdę nie wiem nawet, jaka dalej była, gdy ja zacząłem trwać. Zresztą, co znaczy naprawdę”. Pomyślał, że chciałby odszukać ślad tej dziewczyny, która potem była jego żoną, ślad, który urwał

się wiele dziesiątków lat wcześniej, wtedy kiedy on trwał w płynnym azocie, a ona ostatecznie przestała być.

Pomyślał, że dlatego Koma była nią tak bardzo, jak tylko mogła, bo wtedy pytanie o ślad nie miało sensu, nie można było go zadać nie odrzucając jednocześnie Komy. A Koma była naprawdę, cokolwiek to słowo znaczy.

Lecz jeśli Koma była nią, to istniało gdzieś źródło tej wiedzy o Kar, bo przecież jej obraz w Komie nie był

zafałszowany. Jakies istniejące obiektywne źródło w fizycznym świecie, który można opisać, zbadać i naprawdę znać.

Pomyślał o Norcie, bo Nort wiedział więcej o tym świecie od niego, debiutanta Korna.

Połączył się z komputerem osiedla i zapytał, gdzie jest Nort.

— Właśnie zaczyna wykład. Budynek C, trzecie wejście — powiedział komputer monotonnym głosem maszyny.

Po chwili Korn był na ulicach osiedla i mimo słońca, które już grzało, czuł jeszcze ślad chłodnego powietrza pustynnej nocy. Budynek C był niedaleko, lecz gdy Korn wszedł do audytorium, wykład się już zaczął. Światła były przyćmione i Korn potykając się o nogi siedzących znalazł wolne miejsce.

— Co znaczy teraz? — powiedział Nort i zawiesił głos jakby oczekiwał od słuchaczy odpowiedzi.

Korn rozejrzał się wokół. Siedział w drugim rzędzie niewielkiego audytorium. Za nim, wokół niego, obcy nieznani mu ludzie, których zarysy twarzy widział w poświacie przygaszonego sufitu. W pełnym świetle było tylko

podwyższenie. Tam stał Nort przed wielkim zajmującym całą ścianę ekranem, na którym zastygła zielona pnąca się w górę eksponenta wraz z szeregami liczb i symboli.

— Widzicie więc — mówił dalej Nort — że każdy dyskretny stan z ciągu opisanych stanów, odpowiada na to pytanie. Można by wychodząc naprzeciw naszym przyzwyczajeniom ciąg tych stanów uważać za metaczas Kosmosu. Jednakże określenia tego nie będę używał, jego sens fizyczny bowiem jest wątpliwy, a na pewno nie ma to nic wspólnego ze znanym nam pojęciem czasu wyznaczonym lokalnie przez masę obiektu.

Oczywiście, trudno mówić o intuicyjnym przedstawieniu omawianego modelu, ale wyobraźmy sobie

zbiór gwiazd wraz z ich promieniowaniem w zwyczajnej trójwymiarowej przestrzeni euklidesowej. Dla pojedynczej gwiazdy, gdy jest ona punktem centralnym, jej promieniowanie to jakby współśrodkowe kule rozciągające się w nieskończoność. Spójrzmy teraz na problem inaczej. To nie promieniowanie opuszcza powierzchnię gwiazdy, lecz wymiary gwiazd, a właściwie cała metryka przestrzeni kurczy się — zamachał

rękami — tak że w następnym istniejącym, jako obserwowalny, momencie, każda gwiazda jest o einsteinowską stałą razy miejsca niż w poprzednim. Jak pokazałem poprzednio, nie podlegają temu jedyne cząstki pozbawione masy spoczynkowej. Tak więc współśrodkowe kule promieniowania nie są niczym innym jak śladami zarysu gwiazdy w jej poprzednich momentach obserwowalnych. Przy tym wprowadzone przekształcenie jest tego rodzaju, że dla każdego dwu gwiazd odległość mierzona w nowych jednostkach po przekształceniu, jest liczbowo równa tej odległości w starych jednostkach przed przekształceniem, a ponadto po przekształceniu pozostałości ich poprzednich powierzchni, to co nazywamy promieniowaniem, pozostają współśrodkowe w stosunku do każdej gwiazdy po przekształceniu.

— To znaczy — zapytał jakiś chłopak siedzący tuż za plecami Korna — że widząc jakąś gwiazdę, przecinamy którąś z jej poprzednich powierzchni?

— Z takim sformułowaniem trudno się zgodzić, ale sądzę, że myśl jest prawidłowa — Nort się uśmiechnął. — Natomiast przy tym poziomie braku precyzji można powiedzieć coś więcej: Jesteśmy w minionym wnętrzu każdej gwiazdy, którą obserwujemy.

Ktoś z drugiego końca audytorium zadał pytanie, którego Korn nie dosłyszał.

— Tak — odpowiedział Nort — w tym ujęciu tak zwana prędkość światła jest jakościowo różna od innych prędkości. Zresztą jasne jest w tym modelu, dlaczego stanowi ona prędkość graniczną i nieosiągalną dla ciał z masą spoczynkową, i to jest wniosek, nie założenie.

— A podróże w czasie? — tym razem pytała kobieta z pierwszego rzędu.

— Niestety, nie w tym modelu. Czas, a właściwie następstwa zdarzeń mają w tym modelu jednoznaczny, niepodważalny i obiektywny charakter. Nieobce starożytnym

filozofom podejrzenie, że czas jest jedynie sposobem postrzegania światła musi zostać odrzucone.

— Nie podoba mi się ta teoria — powiedział ktoś szeptem obok Korna i wtedy Korn zauważył, że sąsiedni fotel zajmuje Gotan.

Nort mówił coś jeszcze o przesunięciu widm galaktyk ku czerwieni, że mechanizm jest taki sam, tylko stałe przekształcenia były kiedyś inne, ale Korn go już nie słuchał.

— Czołem, Gotan — powiedział cicho.

Gotan przyjrzał mu się uważnie.

— Witaj manipulatorze. Jak tam wyprawa?

— Jaka wyprawa? Przecież kształcę się.

— Interesujesz się tym?

— Właśnie — odpowiedział Korn i nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego właściwie tu przyszedł.

— Ja nie — Gotan mówił szeptem — ale stary, to znaczy Nort, spotkał mnie i zaprosił. Nie wypadło odmówić. W końcu on jest tu naprawdę ważny. Mam dzisiaj wolny dzień i chciałem wyjechać.

— Pierwszym faktem, nad którym należy się zastanowić — Korn słuchał dalej wykładu — jest szczególna właściwość szybkości rozchodzenia się światła. Nasuwa się podejrzenie, że jej sens fizyczny jest całkowicie i jakościowo różny od wszelkich innych szybkości. Nie może to być przypadek. Więc może chodzi tu o coś zupełnie odmiennego. W tej teorii szybkość światła jest to szybkość przekształcenia, szybkość zapadania się Wszechświata, jeśli można mówić w ogóle o zapadaniu, gdy jest ono stanem wiecznym. Zapadając się przecinamy istniejące dawniej powłoki gwiazd i odbieramy to jako promieniowanie. W tym modelu paradoks Olbertsa przestaje być paradoksem...

— Mnie inaczej uczyli — powiedział szeptem Gotan. — Nie wiesz, jak to jest naprawdę?

— Nie wiem. Nie wiem, co znaczy „naprawdę”.

Ktoś dotknął ramienia Korna, a potem schwycił go za rękę. Poprzez Gotana nachyliła się ku niemu Elsy.

— Chodź!

— Dokąd?

— Chcę z tobą pomówić.

Wstał i teraz razem przepychali się do końca rzędu krzeseł.

— Co się stało? — zapytał, gdy byli już przy wyjściu.

— Unikasz mnie, Stef. Dlaczego? Łączyłam się dzisiaj z tobą wielokrotnie. Nie odpowiadałeś. Wiem, że byłeś u siebie.

— Czego chciałaś?

— Nie mów tak do mnie. Dlaczego tak mówisz?

— Czego sobie ode mnie życzysz, jeśli tak wolisz.

— Chciałam cię po prostu zobaczyć. Czy to niedobrze?

„Nie rozumiem, czego ona ode mnie chce? — pomyślał Korn. — Dwa razy ją widziałem i tak o jeden raz za dużo”.

Wyszli przed gmach. Temperatura powietrza już wzrosła i było gorąco.

— Więc kiedy przyjść do ciebie? — zapytała.

— Nie przychodź. Wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Przed siebie. Czy to ważne dokąd?

— Kiedy?

— Zaraz. Możesz pożegnać ode mnie Nortę.

— Odjeżdżasz i nie masz mi nic do powiedzenia?

— O czym mam mówić? Mogę ci powiedzieć, że nie spędziłem tu najmielszych chwil mego życia.

— Jesteś brutalny, Stef.

— Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Daruj, spieszę się... — wyminął ją i poszedł ulicą w kierunku bunkra Tertona.

Została i nie rozumiał, czego od niego chciała ta kobieta, której nie znał prawie.. Gdy stanął w pokoju Tertona, zrozumiał, że niepotrzebnie tu wracał. Przecież nie miał tu nic swojego. Wszystko, co było mu domem, zostało tam po drugiej stronie, gdzie teraz były tylko zwały radioaktywnego błota.

Do autostrady szedł pieszo patrząc na czarne deszczowe chmury, pierwsze, które widział tu nad pustynią.

IX

Po zielonej trawie na zboczu nasypu wspiął się na autostradę. Trawa była mokra, bo niedawno przeszedł deszcz, ale teraz świeciło Słońce i wielkie prostokątne płyty autostrady wysychały od środka białymi płatami. Osiedle zostało za nim i nie widział go, bo niewielki akacjowy zagajnik, który minął, zasłaniał prostokąty budynków i wieżyczki anten. Po drodze nie spotkał nikogo, nikt go nie zatrzymywał, gdy wyszedł z budynku i szedł traktem ku autostradzie, którą widział z okna swego pokoju jako szare pasmo.

Na autostradzie ruch był mniejszy, niż się tego spodziewał. Samochody nadjeżdżały bezgłośnie i słyszał

tylko świst nośnych poduszek na moment wcześniej, nim go minęły. „Są duże, większe niż te, które pamiętam i jakoś przypłaszczone” — pomyślał i wiedział, że kształt ten wynika z szybkości, dla jakich je konstruowano. Próbował je zatrzymywać podniesioną ręką, ale nawet nie zwalniały. Stał więc na poboczu autostrady, czuł zapach mokrej trawy i wysychającego na słońcu betonu i gdy autostrada była pusta, słyszał w górze gdzieś znad zagajnika głosy ptaków.

W końcu, gdy był już prawie zdecydowany iść pieszo, nadjeżdżający samochód zwolnił. Zanim to spostrzegł, usłyszał niskie monotonne buczenie, a potem samochód zjechał ze środka autostrady na pobocze i zatrzymał się tuż przed nim. Był to długi szary wóz z zakrytymi obudową nośnikami i czujnikami dotykającymi prawie szosy. Drzwi się rozsunęły:

— Szybko wsiadaj, bo nas kontrola wykryje!

Usiadł na wygodnej kanapie przedniego siedzenia i równocześnie poczuł przyspieszenie wciskające go w oparcie. Oceniał tę siłę i wiedział, że jest to inny silnik niż w samochodach jego czasów. Spojrzał na kierowcę. To była kobieta. Patrzyła na szosę, bo wjeżdżali znowu na środek autostrady. Kierownica była śmiesznie mała i umieszczona tuż przy pulpicie wskaźników. Gdy wjechali na środek, żółte światło na pulpicie rozblęskło kilkakrotnie, a potem rozjarzyło się równym jasnym blaskiem. Wtedy kobieta zdjęła ręce z kierownicy i spojrzała na niego.

— Samotny? — zapytała.

— Tak. Skąd wiesz?

— Nietrudno się domyślić. Jeśli ktoś, zamiast zawołać

wóz, zatrzymuje samochody na autostradzie, to znaczy, że szuka towarzystwa — uśmiechnęła się.

Wyglądała młodo. Skóra jej twarzy i szyi była gładka, lecz gdy zobaczył jej oczy, pomyślał, że musi być starsza, niż przypuszczał.

— Dokąd jedziesz? — zapytała.

— Przed siebie.

— To może być w przeciwnym kierunku.

— Nie szkodzi.

— Jednym słowem tramp.

— Można to i tak nazwać.

Nagle spoważniała.

— A może ty ukrywasz swój zlicz i dlatego mnie zatrzymałeś?

— Mój zlicz? Nie. Nie ukrywam. Mam go tutaj. Chcesz zobaczyć?

— Nie. Po co. Wierzę ci — uśmiechnęła się znowu. — Ty nie wyglądasz na zdziwaczałego.

— To zdziwaczali ukrywają swoje zlicze?

Przyglądała mu się przez chwilę uważnie.

— Nie żartuj. Masz przedziwne poczucie humoru — powiedziała w końcu.

— A dokąd ty jedziesz?

— Do Lebok. Taka mała osada.

— Daleko?

— Jakieś trzysta kilometrów stąd. Mieszkam tam.

— A gdzie mnie zostawisz?

— Zostawić cię? Jak chcesz. Ale jesteś zaproszony.

— Do ciebie?

— Tak. Inaczej bym ci przecież już powiedziała. Dziwny jesteś. Jak masz na imię?

— Stef. Stef Korn.

— Nie bądź taki oficjalny.

— Dlaczego?

— Mówisz mi nazwisko, jakbyśmy mieli razem pracować. Moje imię Len.

— Len. Ładne imię. Myślisz, że nie moglibyśmy razem pracować?

— Pracować? A czym ty się zajmujesz?

— Teraz? Przypuszczam, że moje życie będzie moim najważniejszym zajęciem. Skończyłem natomiast biofizykę i studia inżynierii genetycznej. Ale to było dawno. Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku.

— Nie wierzę. Nie wyglądasz na starca. W ogóle, zdaje się, robisz sobie z naszego spotkania dużą zabawę — powiedziała to zupełnie normalnie, ale zrozumiał, że musi coś powiedzieć.

— Mówię poważnie, Len.

Przez chwilę nic nie mówiła. Korn wsłuchiwał się w wysoki, ledwo słyszalny dźwięk silnika.

— Wiesz, ja wcale nie jestem tak stara — powiedziała nagle.

— Dlaczego miałabyś być stara?

— Pomyślałam sobie, że może tak myślisz?

— Wcale tak nie myślałem. Jesteś chyba moją rówieśnicą.

— Nie przesadzaj. Jestem starsza od ciebie.

— Chyba się mylisz.:

— Jesteś miły. Ale słowa nie zmieniają rzeczywistości. Zresztą, to nieważne. Jestem reporterem wideo.

Wiesz?

— Tak? To ciekawe zajęcie?

— Ja je lubię. Teraz skończyłam właśnie moją turę i wracam do domu.

— Na długo?

— Normalnie, na tydzień. Muszę zrobić porządek w ogrodzie. Najwyższa pora. Zaczyna już być zielono.

Powinnam była to zrobić poprzednim razem.

— Co masz w tym swoim ogrodzie?

— Narcyzy. Jesteś głodny? — zmieniła temat. — Bo ja jestem.

— Trochę. Tylko widzisz będę miał pewne trudności z dostaniem obiadu.

— Znowu dziwaczysz. Tam za tym pagórkiem jest motel, w którym zwykle jadam obiad. Automaty

befszytkowe są tam świetnie konserwowane i nie palą mięsa. Zarządzający to miły człowiek, który naprawdę lubi swój zawód.

— Doskonale, zrobimy przerwę obiadową.

— I jedziesz ze mną dalej? — widział, że przygląda mu się uważnie.

— Tak. Jadę.

— Do Lebok?

— Jeśli mnie zapraszasz mimo moich licznych dziwaczeń.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem powiedziała:

— Jesteś dziwnym człowiekiem, Stef.

Nie odpowiedział, bo wjechali na szczyt wzniesienia. Widział, jak lekko szarpnęła kierownicą, żółte światło zgasło, zaczęli zwalniać i zjeżdżać ze środka autostrady. Podjazd był szeroki i przed niskim przeszklonym pawilonem zobaczył kilka zaparkowanych samochodów.

„Wędrowiec autostrady” — przeczytał Korn wielką migającą żółtym światłem nazwę. Wjechali między zaparkowane wozy i stanęli. Wewnątrz było pustawo. Kilkanaście stolików w jasnej sali. Starszy mężczyzna z dzieckiem, dwie kobiety pijące jasny płyn z wysokich wąskich szklanek, przy stoliku w drugim końcu sali chłopak, który podniósł się, gdy ich zobaczył.

— Cześć, Len, gwiazdo przewodnia naszej wideo! — zawołał głośno.

Kobiety spojrzały na nich, a dziecko zaczęło płakać. Len stanęła niezdecydowana.

— To Wat, z naszej ekipy — powiedziała.

— Chodź tutaj z tym nowym chłopakiem, którego holujesz.

— Chodźmy — powiedziała Len i podeszli do jego stolika.

— To jest Stef — powiedziała Len.

— A ja jestem Wat. Witaj, Stef. Drugi czy Trzeci, co Len?

— Uspokój się, Wat. Która to szklanka? — wskazała szklankę z bezbarwnym płynem stojącą na stoliku.

— Chyba czwarta — Wat podniósł szklankę i wypił płyn. Zaraz przyniosę następną, którą wypiję w tak miłym towarzystwie.

— Nie trudź się. Nie dostaniesz już żadnej.

— Mylisz się, skarbie. Dzisiaj jestem podwojony. Mam dwa zlicze. Swój i Romana. Miał jechać ze mną, ale coś mu tam wypadło i zgodziłem się jechać sam pod warunkiem, że da mi swój zlicz.

Teraz pości i kontempluje — wstał i poszedł ku automatom ustawionym przy ladzie. Len spojrzała na Korna.

— Przykro mi, że trafiliśmy na niego. To zdolny chłopak. Dwa lata temu zaczynał u nas w wideo. Ale wygląda na to, że skończy w domu szczęścia.

— Gdzie?

— Nie, oczywiście to nie jest przesądzone. Jest jeszcze tak młody.

— Już jestem. Nie opuściłem was na długo. A wy chcieliście spojrzeć sobie głęboko w oczy siedząc przy stoliku w „Wędrowcu autostrady”, a tu taki pech. Mówię wam, świat jest za mały dla zakochanych.

Powinno się ich wysyłać w Kosmos we dwoje, na sto, na dwieście lat na ślepą orbitę.

— Bredzisz, Wat — powiedziała Len. — Co jemy, Stef? Befszyki? Przyniesiesz?

— Wolałbym, żebyś ty przyniosła.

Spojrzała na niego uważnie.

— Zgoda. Daj swój zlicz.

Zsunął z palca zlicz, a gdy odeszła, Wat przechylił się ku niemu przez stół.

— Co, chłopcze, masz mi może coś do powiedzenia?

— Nic — Korn obserwował Len, która dotykała zliczami otwory aprowizatorów.

— Zmieniłeś zdanie, chłopcze?

— Dlaczego?

— Wysłałeś ją i myślałem, że sobie porozmawiamy jak mężczyźni. Ja tu na nią czekałem.

Korn zrozumiał i spojrzał na Wata.

— Uspokój się, Wat.

— Teraz mi grozisz, chłopcze. A ja się nie boję. Znam Len. Ona sobie zawsze wybiera takich mięczaków, o których się musi troszczyć, takich jak ty, jak ja. W ciemno ci mówię. Jesteś mięczak.

Korn odwrócił się i spojrzał na Len. Z otworów aprowizatorów wydobywała się para.

— Już się na nią oglądasz, żeby ci pomogła? — Wat śmiał się. — Masz, wypij, to ci dobrze zrobi — podsunął mu swoją szklanę. — Poczujesz się mężczyzną, chłopcze.

— Zabierz to — powiedział Korn i czuł, że Wat zaczyna go drażnić.

— Co, nie chcesz? — Wat wstał i podszedł do niego. — Masz, pij! — starał się przytknąć szklanę do jego ust. Korn uchylił się i Wat rozlał płyn na jego ubranie, po którym krople staczały się na podłogę.

— Siadaj! — powiedział i schwycił Wata za ramiona, by go posadzić na krześle. Usłyszał brzęk szklanki i tamten uderzył go w żołądek. Nie był na to przygotowany i poczuł ten ucisk i brak tchu, jak zawsze po takim ciosie. Wypuścił Wata i wtedy tamten uderzył go z dołu w brodę.

Korn uderzył nie myśląc. Poczuł ostry ból w ręce i Wat przewracając stolik upadł dwa, może trzy metry dalej. Podniósł się z trudem i wtedy Korn spostrzegł, że tamten się boi.

— Nie wiedziałem, chłopcze, że jesteś zawodowiec — wyjąkał.

— Co tu się dzieje? — mężczyzna w białym błyszczącym ubraniu szedł ku nim.

Dalej Korn zobaczył Len z talerzami w ręku.

— Ja widziałem. Tamten uderzył pierwszy — starszy mężczyzna zostawił wrzeszczące dziecko i teraz wskazywał na Wata.

— Przekażesz to kontroli — powiedział mężczyzna w białym ubraniu.

— Nie, tylko nie kontroli, proszę was — Wat zbladł.

— To jest przypadek dla kontroli — powiedział mężczyzna.

— Nie, ja nie chciałem. Len, proszę cię, zrób coś...

Mężczyzna spojrzał na Len.

— Znasz go? — ruchem głowy wskazał na Wata.

— Tak. Jest od nas z wideo.

— Ale kontrola musi być — powiedział mężczyzna.

— Przecież ja nic nie zrobiłem. Stef, nie masz do mnie pretensji? To był przypadek.

— Ładny przypadek — powiedział mężczyzna od dziecka. — Przez takich obiadu nie można zjeść spokojnie.

— Stef, powiedz, że to nieważne — prosił Wat.

Mężczyzna w białym ubraniu spojrział na Korna.

— Dla mnie to bez znaczenia — powiedział Korn.

Mężczyzna spojrział na Len.

— On jest jeszcze bardzo młody — powiedziała Len. — Zazwyczaj to spokojny chłopak.

— Jak chcecie — mężczyzna wzruszył ramionami. — Ale ty się stąd zwijaj! — powiedział do Wata.

— I jeśli

możesz, nie odwiedzaj minie więcej.

— Tak, oczywiście, że pójdę — Wat poszedł ku drzwiom.

Dziecko, gdy je mijał, przestało płakać.

— Takich teraz pełno wszędzie — powiedział mężczyzna od dziecka — mają za dużo wolnego czasu.

— Siadaj, Stef — powiedziała Len — jedzenie nam wystygnie.

— Dziękuję ci, Kleo.

Mężczyzna w białym ubraniu uśmiechnął się.

— Ależ ty masz uderzenie — powiedział do Korna. — Myślę, że i tak dostał za swoje.

A Korna bolała ręka. Usiadł naprzeciw Len, która podsunęła mu jego talerz.

— Nic mi nie mówiłeś, że jesteś na diecie — powiedziała. — Przyniosłam ci gotowaną mazwę.

— Ja, na diecie?

— Na twój zlicz befsztyku dostać nie można. Mogę ci odstąpić kawałek mojego, chcesz?

— Będziesz głodna.

— Wezmę duży deser. I sprawdzę, jak z tą twoją dietą. Nie wiedziałeś o tym?

— Nie.

Korn zjadł kawałek befsztyka, a potem zabrał się do jedzenia mazwy, bo był głodny.

— Opiekun widocznie podejrzewa, że jesteś chory.

— Ja? To musi być pomyłka.

— Nie, sprawdzałam.

— I myślisz, że to długo potrwa z tą dietą?,

— Zajdź do testowni zdrowia, to może ci zmienią zapis.

— Zapis?

— No tak, zapis. Inaczej będziesz stale jadał mazwę.

— Ale to jest niesmaczne. Wezmę twój zlicz i dostanę porządny befsztyk.

— Nie żartuj, Stef. Tak nawet żartować nie można.

Spojrzał na nią, ale ona mówiła to zupełnie poważnie.

— Jednak twój przyjaciel Wat jakoś sobie radzi na dwa zliczę.

— On jest głupi, lekkomyślny szczeniak. Widziałeś zresztą, jak się bał.

— W końcu to żadna przyjemność odpowiadać za takie wyczyny, jak pobicie spokojnego człowieka.

— To dla niego codzienne sprawy. On się bał, że kontrola wykryje podwójny zlicz. Gdyby nie to, nigdy bym mu nie darowała. Dobrze by mu zrobiło, gdyby przez kilka godzin przymusowo z automatami porządkował trawniki w mieście. On zresztą twierdzi, że to lubi. Świeże powietrze i praca fizyczna. A że wycieczki szkolne go oglądają, to mu nie przeszkadza.

— A podwójny zlicz to sprawa poważniejsza?

— Nie udawaj, Stef. Pójdę po deser. Przynieść ci coś? Skinął głową i patrzył, jak szła ku automatom.

Miała dobrą sylwetkę. „W jej ruchach jest coś młodzieńczego, tak jak u Kar” — pomyślał, a potem postanowił myśleć o czymkolwiek innym. Poza tym bolała go ręka.

— Dla ciebie kompot — powiedziała Len. Przed sobą postawiła wielki talerz lodów.

— Też zlicz?

— Tak, lody mogłyby ci zaszkodzić.

— A gdzie jest ten, który to wymyślił?

— Nie wiem, kto ci to wpisał, ale Opiekun podaje to według posiadanego zapisu.

— Opiekun? Właśnie jego szukam.

— Opiekuna? Naprawdę? Jeśli nie żartujesz, zawiozę cię w Lebok do podstacji.

Korn dopił kompot do końca i odstawił szklankę. Pomyślał, że świat się jednak zmienił bardziej, niż przypuszczał.

— O czym myślisz? — zapytała Len.

— O świecie w ogóle — odpowiedział zgodnie z prawdą i dopiero potem uświadomił sobie, że Len nie lubi takich odpowiedzi, a była dobrą dziewczyną i właściwie nie było powodu do odpowiadania jej w sposób, którego nie lubiła.

— Pojedziemy?

— Świetnie. Ten obiad nie był taki, jakiego się spodziewałem. W dawnych czasach jadałem lepsze.

— W dawnych czasach nie byłeś na diecie — uśmiechnęła się.

— Nie. Nie byłem — zgodził się.

— Pamiętasz te czasy? Nie, ty udajesz... Dlaczego ciągle chcesz być taki inny?

— Ja? Absolutnie nie chcę. Wiesz, Len, podejrzewam, że ja naprawdę jestem inny.

Wyszli na podjazd i wsiedli do samochodu. Wsiadając Korn oparł się ręką o drzwi samochodu i poczuł

ból.

— Uszkodziłem sobie chyba rękę na tym twoim chłopaku.

— Tylko nie moim, Stef. Nic mi do niego. Może jemu się coś wydawało, ale to niczego nie dowodzi.

— Jasne, że nic ci do niego, ale rękę sobie rozbiłem i teraz chyba nawet puchnie.

— Pokaż.

Ujęła jego dłoń i lekko nacisnęła palcami.

— Przestań, to boli.

Przyglądała się jego ręce.

— Masz dwie wielkie blizny na dłoni. Co ci się stało?

— Wypadek.

— Dawno?

— O, tak.

— A ręka ci rzeczywiście puchnie. W Lebok podjedziemy do testowni zdrowia. Lekarz powinien ją obejrzeć.

— Może samo przejdzie.

— Testownia jest po drodze.

Ruszyli i wjechali na środek szosy. Droga przebijała się przez wzgórza i widział skałę wychodzącą ze zboczy w miejscach, gdzie kiedyś wzgórza rozerwał dynamit. Potem wjechali w step. Len nic nie mówiła, ale podejrzewał, że go obserwuje.

— Chyba jedziemy teraz wolniej — powiedział, bo nie lubił być obserwowany.

— Tak, to rezerwat krów mlecznych. Automatyka zmniejszyła prędkość. Droga ma jakieś zabezpieczenie, ale krów są całe stada i mimo zabezpieczeń wchodzą na szosę.

— Jest ich aż tyle?

— Tak. Niekontrolowana rezerwa genetyczna. Mnożą

się znakomicie. W suszę stratory zrzucają im dodatkowe siano, a nawadnianie pracuje podwójnie.

Korn rozejrzał się wokół, ale nie zobaczył krów. Step był jeszcze zielony jak zawsze na wiosnę, zanim słońce nie grzeje zbyt mocno. Potem szerokim łukiem minęli osadę i Korn widział czerwone domki z wieżyczkami anten na dachach; wysokim wiaduktem przejechali nad doliną, po której dnie płynęła rzeka i wjechali w busz. Samochód zwiększył szybkość. Przy następnej osadzie Len zjechała z autostrady w wąską boczną drogę. Automatyka na tej drodze widocznie nie działała, bo żółte światło zgasło i Len sterowała wóz kierownicą. Wjechali w osadę i zatrzymali się przed podjazdem kilkupiętrowego domu.

— Zaczekam na ciebie. To nie powinno długo trwać — powiedziała Len.

— Sam nie wiem, czy warto tam w ogóle iść.

— Przecież cię boli.

— Przejdzie.

Chwilę patrzyła na niego uważnie.

— Dobrze, pójdę z tobą — otworzyła drzwiczki samochodu.

Weszli do środka i prowadzeni czerwonymi strzałkami przeszli do pokoju dyżurnego lekarza. Lekarz miał twarz pomarszczoną i ciemny niegolony zapewne od wczesnych godzin rannych zarost.

— Wejdźcie, proszę — powiedział. Pił kawę i patrzył w wielki ekran, w którym przesuwały się plastyczne trójwymiarowe kształty.

„Więc to jest ich wideo” — pomyślał Korn.

Chciał się bliżej przyjrzeć urządzeniu, ale lekarz wstał.

— Co się stało? — zapytał.

— Uszkodziłem sobie trochę rękę — powiedział Korn.

— Upadł na rękę i teraz ręka puchnie. — Korn spojrzał na Len, ale Len patrzyła na lekarza.

— Podwiń rękaw, zaraz zobaczymy — powiedział lekarz i podszedł do jednego z aparatów ustawionych rzędem pod ścianami. Nacisnął klawisz, czerwone światło kontrolne zapłonęło i Korn usłyszał ciche buczenie.

— Podejdź tutaj. Tak. Połóż tu rękę.

Korn dotknął ręką chłodnej powierzchni płyty. Lekarz spojrzał w ekran, a potem na Korna.

— Nigdy jeszcze tego nie widziałem. Jesteś kosmonautą? — zapytał.

— Nie.

— Wiesz, ja nie jestem specjalistą. Cóż mogę ci powiedzieć... Kości w porządku. A czy w tych biochemicznych złączach nie ma uszkodzeń, to musi zbadać specjalista. W okolicy nie znajdziesz nikogo, kto się na tym zna.

— O czym mówisz? — zapytała Len.

— Po prostu ja się nie znam na połączeniach cyborgizujących.

Len spojrzała na Korna jakoś inaczej.

— On... on jest cyborgizowany?

— Tak. Spójrz, to są połączenia nieorganiczne. Niestety, nic o nich nie potrafię powiedzieć.

Korn zdjął rękę z płyty.

— Co ja jestem? — zapytał lekarza.

— Jesteś cyborgizowany. Jako lekarz mogę ci to powiedzieć. W tym nie ma mnie specjalnego. Po prostu jesteś.

— Co to naprawdę znaczy? — zapytał Korn.

Lekarz spojrzał na niego jakoś dziwnie i poszedł do biurka.

— Twój organizm zawiera wbudowane elementy podwyższające twoją sprawność. Zazwyczaj

cyborgizację przechodzą kosmonauci. Dlatego się o to pytałem — Korn widział, jak lekarz naciska klawisz na biurku.

— Jesteś tego pewny? — zapytał Korn.

— Oczywiście. Zresztą sam o tym musisz wiedzieć najlepiej. Mówię o tym przy niej — wskazał na Len —

bo z nią przyszedłeś, więc chyba zdawałeś sobie sprawę, że się o tym dowie. Z mojej strony nie jest to naruszenie tajemnicy lekarskiej. Chyba tak tego nie traktujesz.

— Nie, oczywiście, że nie. A czy jest w tym coś... coś niezupełnie w porządku, jeśli ktoś jest cyborgizowany?

— Nie, absolutnie nie. Po prostu, na ogół pacjenci nie chcą, by o tym wiedziano. Wiem o tym z informatora, bo ty jesteś pierwszym przypadkiem, który widzę.

Korn pomyślał, że tamten powiedział to jakoś zbyt pośpiesznie. Spojrzał na Len. Spostrzegł, że stara się nie patrzeć na niego. Drzwi się otworzyły i weszło dwu mężczyzn w zielonkawych ubraniach, takich samych jak ubranie lekarza.

— Wzywałeś nas. Jakiś cięższy przypadek?

— Właściwie to drobiazg. Chyba tylko stłuczona ręka, ale on — wskazał na Korna — jest cyborgizowany.

Może chcecie obejrzeć tę rękę?

— Chętnie — powiedział jeden z przybyłych i podszedł do aparatu. — Możesz tu podejść?

Korn spojrzał na niego.

— Dziękuję, już wystarczy — odwrócił się i nie patrząc na nich wyszedł na korytarz.

— Twój zlicz. Podaj swój zlicz... — zawołał za nim lekarz. Nie odpowiedział i nie zatrzymał się. Wyszedł

na podjazd. Spojrzał na szary samochód Len i poszedł dalej. Wtedy usłyszał, że ktoś biegnie za nim. To była Len.

— Dlaczego nie udostępniłeś mu zlicza?

— Nie może mieć wszystkich przyjemności naraz. Wystarczy, że oglądał już moją rękę.

— Ale teraz Opiekun będzie cię szukał.

— Niech szuka.

— I zapamięta to.

— Niech pamięta. Ty myślisz, że cyborgizowanych to wszystko również dotyczy — powiedział to po prostu, żeby coś powiedzieć, ale Len potraktowała to poważnie.

— Pewnie masz rację — powiedziała — wy jesteście na innych prawach.

— Wy?

— No, tak. Ludzie cyborgizowani. Podobno do was należy przyszłość.

— Ale, jak zauważyłem, na razie nie jest to powód do chwały.

— Przesadzasz — urwała. — Specjalnie mnie tam zaprowadziłeś, żebyś wiedziała, tak?

Korn wzruszył ramionami. Pomyślał, że cokolwiek odpowie Len i tak mu nie uwierzy.

— Nie mogłeś mi tego po prostu powiedzieć? Przecież to nie zmienia między nami niczego.

— Między nami?

— Naprawdę. Wierz mi, Stef.

„Więc ona uważa, że fakt przejechania razem kilkuset kilometrów stwarza jakieś relacje między cyborgizowanym mężczyzną a nie cyborgizowaną kobietą” — pomyślał Korn, ale nic nie powiedział.

— Chodź — ujęła go za ramię — jedziemy do mnie. Jak twoja ręka?

— Dużo lepiej, bo przestałem o niej myśleć.

— Ale nie można tego tak zostawić. W domu połączymy się z Opiekunem i on nam powie, co robić dalej.

— Doskonale to wiem bez niego.

— Dobrze, połączymy się, jeśli będziesz chciał.

Pozwolił się zaprowadzić do auta. Gdy ruszyli, Kornowi wydawało się, że w oknach testowni za szybami widzi twarze.

Dom Len był niewielki, wychodzący przeszkloną werandą w ogród. Typowy dom, jaki Korn pamiętał ze swoich czasów. Takie domy zamieszkiwały w jego czasach młode małżeństwa. On także chciał zamieszkać z Kar w takim właśnie domu. Samochód zostawili przed domem i chodnikiem szerokim na dwie płyty szli przez ogród ku werandzie. Było już szaro i w domach, dalej, widział pierwsze światła.

— Nie jest to najwspanialszy dom — powiełała Len — ale mnie wystarcza. Latem jest tu łaniej. Za miesiąc zakwitnie caprifolium.

— A masz specjalną zagrodę dla cyborgizowanych?

— zapytał i równocześnie pomyślał, że to, co robi, jest bez sensu.

Ona chyba nie dosłyszała pytania. Włożyła zlicz w czujnik automatu i drzwi się otworzyły. W pokojach rozjarzyły się ściany.

— No, nareszcie w domu — powiedziała Len i usiadła w wielkim dwudziestowiecznym fotelu, który razem z biblioteką nadawał pokojowi staroświecki wygląd.

— Nie dziwisz się, że nie mam żadnych bagaży? — zapytał.

— Bagaży? A po co? Wszystko typowe dostaniesz z mego domowego automatu, a resztę weźmiemy na twój zlicz z zaopatrywacza. Jest na sąsiedniej ulicy, dwieście metrów stąd. Napijesz się czegoś?

— Jeśli mogę cię prosić o gin z gorzką cytryną.

— Ależ ty masz wymagania. Nie wiem, czy to będzie w moim automacie — podeszła do jednej ze ścian i rozsunała drewniane drzwiczki.

Korn patrzył na książki ustawione na półkach i myślał, co się stało z jego książkami, z tymi, które dostał

od swego ojca i z tymi, które kupował sam, gdy był jeszcze na studiach. Kar nie lubiła jego książek. Miała swoje, te bezpośrednio przydatne nowe wydania, a nie stare tomiska, które tylko zbierają kurz.

— Zapomnieliśmy, że na twój zlicz nie można dostać nic takiego. Możesz dostać mleko, herbatę albo coś z syntetów.

— To weź na swój zlicz.

— Ja prawie tego nie pijam.

— Raz możesz.

Po chwili postawiła przed nim szklanę z jasnym płynem. Korn poczuł znajomy zapach i smak płynu.

— Nareszcie coś znajomego — powiedział. — Smakuje, jak w dawnych czasach. Jak skończę z dietą, będę to pijał.

Len wyjęła z automatu szklanę mleka i usiadła naprzeciw.

— Chcesz popatrzeć w wideo?

— Niekoniecznie. A jest tam coś ciekawego?

— Jak to? O tej porze jest nowy serial. Wszyscy to oglądają.

— Z wyjątkiem mnie.

— Mówisz poważnie?!

— Zupełnie poważnie.

Len powoli piła mleko.

— Przyznaj się, Stef, ty wróciłeś z Kosmosu — powiedziała po chwili.

— Nie, Len. Naprawdę, nie opuszczałem naszej drogiej Ziemi. Miałem tylko, jak by ci to powiedzieć...

przerwę w moim życiu.

Czekała, że coś jeszcze powie, ale Korn pomyślał, że powiedział właśnie tyle, ile trzeba i nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej.

— To dobra audycja — powiedziała wreszcie Len — o cyborgu, który jest prawie nieśmiertelny

— Tak, to musi być wspaniałe — powiedział Korn i pomyślał, że nawet bajki w tym świecie wyglądają już inaczej.

— Może jednak chcesz zobaczyć?

— Nie... Porozmawiaj lepiej z cyborgiem.

— Nie chciałam cię urazić, Stef. Zresztą, ty; w ogóle w niczym nie przypominasz cyborga.

— Tego z wideo? Wiesz, Lem, w dawnych czasach, jeszcze w telewizji, zamiast historii o cyborgach bywały inne historie. Nazywały się wtedy fantastyką naukową. Ale ja oglądałem to, co jest jednoznaczne, to, co istnieje naprawdę.

— Pewnie miałeś rację — powiedziała Len, ale Korn podejrzewał, że myśli już o czym innym.

Przyglądał się jej twarzy, ciemnym szerokim brwiom i włosom, które szesane do przodu zakrywały czoło. Pomyślał, że teraz w sztucznym świetle ścian wygląda lepiej niż przedtem w samochodzie.

— Wiesz, Stef — powiedziała — w tym naszym spotkaniu jest też coś z wideo. Przypadkowe spotkanie, obiad w motelu... — urwała.

— I on jest cyborgiem. Tak?

— Nie myślałam o tym.

— Myślałaś.

— Zgoda, myślałam — spojrzała wprost na niego.

— A ciąg dalszy?

Uśmiechnęła się.

— Pamiętam już twój zlicz — powiedziała. — Pójdę do zaopatrywacza i przyniosę wszystko, co ci potrzeba.

— A ja tymczasem przejrzę twoje książki.

— Książki?

— Bibliotekę.

— Ach, to. Ale to przecież tylko dekoracja.

— To nie książki?

— Oczywiście, że nie.

— Więc po co to wszystko?

— A jak wyobrażasz sobie pokój w stylu dwudziestowiecznym? Bez książek?

— Ale chyba masz jakieś książki?

— Nie. Teraz się książek nie używa.

— W ogóle?

— Nie ma potrzeby. Jest wideo, a wszystkie informacje możesz uzyskać u Opiekuna.

— A jeśli chcesz coś przeczytać jeszcze raz, po latach, coś, co czytałaś, gdy jeszcze byłaś bardzo młoda?

— Zobaczyć, chciałeś powiedzieć. Łączysz się z Opiekunem i on odtwarza ci z archiwum wideo w twoim ekranie to, co chciałeś zobaczyć.

— I w tym archiwum jest wszystko?

— Wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość. Ty chyba naprawdę, Stef, jesteś z innego świata.

— Myślę, że coś w tym jest — powiedział Korn.

Chciał być sam.

Wyszła, a on siedział i patrzył w ciemny, pół ściany zajmujący kwadrat okna. Było cicho i słyszał tylko szum silników stratora przelatującego gdzieś w górze. Siadywał tak kiedyś w swojej pracowni wieczorami, gdy laboranci już wyszli, samochody odjechały z parkingu na dole i nocny portier wyłączył w wielkim laboratorium piętro wyżej wentylatory, których szum słyszał zawsze przedpołudniami. Przeszkadzały mu, ale powiedziano mu kiedyś, że są to najcichsze wentylatory tych rozmiarów jakie w ogóle można dostać.

Parzył sobie mocną kawę z wielkiego hermetycznie zamykanego słoika, który raz napełniony wystarczał na miesiąc, wypijał dwie filiżanki i czekał na

moment, w którym czuł, że myśli szybciej. Potem pracował. Większość rzeczy, które zrobił i o których myślał, że są coś warte miały swój początek w tych wczesno wieczornych godzinach. Tam zrobił tych kilka prac o sterowanych mutacjach, które wtedy miały jakiś sens, a dzisiaj tkwią zapewne gdzieś w archiwach lub raczej w pamięciach systemów informacyjnych wywoływane, gdy ktoś poda jego nazwisko lub zażąda wykazu literatury z tej właśnie dziedziny, która kiedyś była jego pracą. Pomyślał, że źle wybrał swój zawód, bo gdyby na przykład był historykiem czy archeologiem, mógłby teraz pracować dalej, a w tej dziedzinie, którą kiedyś wybrał, wszystko musiało się zmienić i zapewne jego wiedza była teraz mniej przydatna niż ogólna wiedza studenta, który kończy studia. Tak, ten rozdział był dla niego zamknięty, bo gdyby zaczął

nawet studia od nowa, to, co pamiętał — bezużyteczna historyczna wiedza — nie pozwoli mu zrobić nic nowego. Bo nowe rzeczy tworzą ludzie nieobciążeni historycznymi wiadomościami wtedy, kiedy są młodzi.

Potem stają się uczonymi, ale nie są już więcej młodzi.

Wstał, bo myślał, że mocna kawa, którą sobie robi, to jedyna rozsądna rzecz, jaką w tej chwili może zdziałać, a potem przypomniał sobie, że kawa zapewne teraz też jest z aprowizatora i było mu smutno.

Spacerował po pokoju, gdy usłyszał głos:

— Stef, możesz tu podejść?

To był głos Komy i zdziwił się, że pamięta ten głos tak dobrze. Przeszedł do przedpokoju, gdzie był

domowy

pulpit informacyjny i spojrział w ekran. Ale ekran był pusty.

— Nie widzę cię — powiedział.

— Ja ciebie widzę. Jak ci się wiedzie?

— Świetnie — powiedział, bo nie lubił rozmawiać o tym, że jest mu źle, nawet z Komą. — Myślałem, że cię nie ma.

— Jestem, tylko mnie już nie zobaczysz.

— Dlaczego?

— Bo taka Koma, jaką pamiętasz, już nie istnieje.

— A kim teraz jesteś?

— Głosem; w jednym wąskim kanale łączności.

— Jak mnie znalazłaś?

— Użyłaś tutaj swego zlicza.

— I chciałaś mnie zobaczyć?

— Tak. Lubię cię, Stef.

— Lubisz?...

— Lubię cię... Tak mi się przynajmniej wydaje... mocniej tego czuć nie potrafię. To odczucie jest także dla mnie niezwykle. Zapomniałaś, że nigdy nie bawiłam się w piasku... Ja nie jestem człowiekiem, Stef.

— Po co mi to mówisz?

— Żebyś zapomniał o mnie i zaczął żyć naprawdę. Zapomniał i zrozumiał.

— Co zrozumiał?

— Początek i sens tego wszystkiego.

— Jak mam to zrobić?

— Przedtem chciałam ci to sama przekazać. Przekazać tam, w tamtym świecie, który by się wolno zmieniał, aż scaliłby się z tą prawdziwą rzeczywistością. Stałby się jej równoważny. Wtedy także odeszła bym. Ale teraz tamtego

świata nie ma i musisz scalić to wszystko sam.

— Ale jak?

— Podam ci zlicz Kota Fuzjusza. On wszystko wie.

— Kto to jest?

— Dowiesz się. Zanotuj zlicz.

Powiedziała mu zlicz, który zapisał.

— Kiedy cię znowu usłyszę? — zapytał.

— Nigdy. Potem, gdy przestaniesz już debiutować w tym świecie, dostaniesz inną personifikację, jeśli będziesz chciał. Ale to nie będę już ja. Za chwilę wymażę się na zawsze wraz z całą tamtą rzeczywistością.

Ciebie już tam nie ma, Stef. Dostałeś dawkę promieniowania, po której przestałeś tam być.

— Umarłem?

— Tam umarłeś.

— Ale dlaczego?... Co tam się stało?

— Teraz już wiem, lecz jest to nieodwracalne, bo tamta rzeczywistość ma także swoją logikę i porządek.

Żegnaj, Stef, i bądź szczęśliwy.

— Koma! — zawołał, ale odpowiedzi nie było.

Wrócił do pokoju i było mu smutno. Pozostał sam, nieodwracalnie. Pomyślał nagle, że jest zmęczony, że dzień był długi i pora go zakończyć. Potem zastanowił się, czy łóżko w tym domu jest dostatecznie długie, bo był to zawsze problem, o którym myślał wieczorem w nowym nieznanym jeszcze miejscu, a tym bardziej chciał myśleć o tym teraz i nie myśleć o niczym innym. Przypominał sobie łóżko w szpitalu, które przypominało raczej stół operacyjny.

Postanowił się napić czegokolwiek, chociażby mleka. Podeszedł do aprowizatora. Dotknął zliczeni czujnik i przycisnął dźwignię, tak jak to robiła Len. Potem czekał, ale nic się nie działo. Pomyślał, że pewnie nie wie o czymś jeszcze i chciał już odejść, gdy usłyszał głos:

— Zapomniałeś powiedzieć, co ci podać, a nie znam jeszcze twoich zwyczajów — był to normalny głos mężczyzny, który słyszał tak, jakby tamten stał obok.

— Szklankę mleka — powiedział cicho.

Słyszał gdzieś w głębi dźwięk nalewanego płynu i w metalowym uchwycie pojawiła się szklanka.

— Chcesz coś jeszcze? — zapytał ten sam głos.

— Nie, dziękuję.

— Może pastylkę pogodnego snu?

— Nie. Mnie się na ogół nic nie śni — powiedział, a potem pomyślał, że pewnie znowu zachował się nie tak, jak trzeba, wyjaśniając cokolwiek automatowi, ale tamten nic nie mówił. Wziął więc szklankę mleka i zaczął pić. Mleko było chłodne. Usłyszał kroki w przedpokoju i weszła Len.

— Tu jest wszystko dla ciebie — powiedziała i postawiła koło fotela dużą torbę z cienkiego jasnego tworzywa. — Daruj, że to tak długo trwało, ale spotkałam w zaopatrzywaczku Gey. Nie widziałam jej już chyba dwa miesiące. Poznasz ją pewnie.

Korn pomyślał, że właściwie nie widzi powodu do spotkania z Gey, ale nic nie powiedział.

— Nie nudzisz się? — zapytała Len.

— Nie. Rozmawiałem z Komą.

— Z Komą? To, że jesteś u mnie, może wiedzieć tylko Opiekun — Len patrzyła na niego tak jak wtedy w gabinecie lekarza. Stali i Korn wiedział, że Len go obserwuje. Było cicho i znowu usłyszał w górze dźwięk przelatującego stratora. Wreszcie Len uśmiechnęła się.

— Wiesz, Stef, dziwne to wszystko, ty i ta cała historia. Ale mogłam się tego spodziewać.

Nie odpowiedział. Pomyślał, że rzeczywiście jest to wszystko trochę dziwne, ale są to jego sprawy, które obchodzą tylko jego.

— Jak twoja ręka? — zapytała Len.

— Wszystko w porządku.

— Twoja sypialnia jest na górze. Chodź, zaprowadzę cię — wzięła torbę z jego rzeczami i po schodach przeszli na piętro. Schody były zwyczajne, „jak w dwudziestym wieku” — pomyślał Korn.

— Tutaj — powiedziała Len.

Weszli. Ściany rozjarzyły się i zobaczył prawdziwe łóżko. Usiadł, by się o tym przekonać i czuł, jak materace lekko uginają się pod jego ciężarem.

— Łazienka jest obok — powiedziała Len. — Ja będę na dole. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Wyszła.

Rozpakował torbę i znalazł pidżamę. Była trochę krótka, z tego samego mieniącego się materiału, do którego już przywykł. Przeszedł do łazienki i wszedł pod prysznic. Kurków nie znalazł. Stał chwilę niezdecydowany, a potem głośno i wyraźnie powiedział:

— Prysznic!

Woda zalała mu oczy i nos. Była zbyt ciepła.

— Chłodniejsza — powiedział i czuł zmianę temperatury. Potem, gdy szukał ręcznika, usłyszał chropowaty niewyraźny głos, w niczym nie przypominający głosu automatu, z którym rozmawiał poprzednio.

— Powietrze czy ręcznik?

Zawahał się chwilę.

— Powietrze.

Usłyszał szum ukrytego gdzieś wentylatora i poczuł na skórze gorący powiew przypominający wiatr znad pustyni. Gdy wyszedł z łazienki, postanowił powiedzieć Len dobranoc i w sposób ostateczny zakończyć wieczór. Zszedł cicho po schodach i dochodząc do najniższych stopni usłyszał głos Len:

— ...to nic nie wyjaśnia. Informacje musisz ty uzyskać. Ja zrobiłam wszystko, co do mnie należało.

Przywiozłam go tutaj...

Korn się zatrzymał.

— Ciekawe, w jaki sposób? — mówił mężczyzna z ekranu. — To, co wiedziałem, przekazałem ci. W końcu ty z nim rozmawiałaś, nie ja.

— Tak, ale on nie należy do rozmownych.

— Do tych, którzy wygłaszają przemówienia o sobie, nie posyłamy naszych najlepszych reporterów.

— W porządku, postaram się czegoś dowiedzieć.

— Powinnaś być gotowa jutro rano.

— To do jutra.

— Do jutra — powtórzył mężczyzna i wyłączył się.

Korn zszedł na dół i podszedł do Len.

— Rzeczywiście w tym naszym spotkaniu jest coś z wideo. Pełna reżyseria.

— Słyszałeś? — Len stała jeszcze przed ekranem.

— Słyszałem. Dawniej może ubrałbym się i odszedł stąd, ale teraz powiem ci tylko dobranoc.

— Nic więcej?

— Nic.

Podeszła do niego blisko, tak że musiała unieść głowę, by patrzeć mu w oczy.

— Stef — powiedziała. — Nie masz do mnie żalu?

— Nie. Powiniennem się tego domyśleć.

— Czego?

— Że przypadki nie zdarzają się w tym uporządkowanym świecie. Tylko nie rozumiem, po co udawałaś, że nic o mnie nie wiesz.

— Ja naprawdę nic o tobie nie wiem. Powiedziano mi, że opuściłeś instytut i idziesz ku autostradzie. Ty nowy, wielki manipulator. Tylko tyle.

— Dobrze zrobione.

— Stef, ale w tej chwili to nie ma znaczenia.

— Co?

— Mój wywiad z tobą. Możesz nie mówić ani słowa. Dobrze, że tu jesteś, Stef.

Pocałowała go nagle. Nie spodziewał się tego. Zapach jej skóry nie był niemiły. Odsunął ją delikatnie, tak delikatnie, jak tylko potrafił.

— Naprawdę, nie masz do mnie żalu, Stef?

— Nie. Co chcesz wiedzieć? — zapytał.

— Nic. To naprawdę nieważne.

— Len — powiedział. — Ty jesteś prawdziwym reporterem. Używasz właściwych metod we właściwym czasie.

— Nie jestem teraz reporterem. Rozumiesz? Nic mnie cała ta historia nie obchodzi. Ważne jest, że ty tu jesteś.

— Miła jesteś, Len — odwrócił się i podszedł do czarnego kwadratu okna,

— Stef...

Spojrzał na nią.

— Stef, ty mi tego nie zapomnisz?

— Nie ma o czym mówić, Len.

— ...ja wiem...

Korn patrzył w okno i widział ruchome światła samochodów daleko na autostradzie.

— Dobranoc, Len — powiedział. — Jutro powiem ci, to co wiem, ale sam nie wiem zbyt wiele.

Wszedł na schody.

— Stef, przyjdę jeszcze do ciebie.

— Nie — powtórzył i poszedł do pokoju na górze.

Leżał w ciemności i zastanawiał się, czy Len przyjdzie. Potem zrozumiał, że już nie przyjdzie i zasnął.

Wstał wcześnie, gdy Len jeszcze spała. Widział z okna ulicę, która była pusta i tylko jej skrajem poruszał

się mały pękaty automat zbierający śmiecie. Ubrał się i cicho, uważając, by stopnie schodów nie skrzypiały, zszedł na dół do telewizofonu.

Wprowadził z klawiatury numer zlicza, który dostał

wczoraj od Komy i czekał. Ekran rozjarzył się i zobaczył twarz starego człowieka.

— Witaj, nieznajomy — powiedział tamten. — Skąd wiesz, że w moim wieku wstaje się rano?

— Jestem Korn, Stef Korn — powiedział. — Dostałem twój zlicz od... — chciał powiedzieć Komy, ale zawahał się.

— Ach, to ty jesteś ten podróżnik w czasie — stara twarz, maska prawie, uśmiechnęła się setkami drobnych zmarszczek. — Czekam na ciebie.

— Ty wiesz o minie?

— Wiem.

— Ale ty... ty jesteś człowiekiem.

— No, wiesz, młodzieńcze! Podejrzewać Kota Fuzjusza, że jest fantomem. Nie, to mnie jeszcze nie

spotkało w ciągu ostatnich stu lat — i Korn usłyszał dźwięk, który był śmiechem tamtego.

— Jesteś teraz w Lebok, jak mi powiedziano — mówił tamten. — Ja mieszkam w Yrobo. To tylko pół

godziny sublotem. Od przystanku sublotu ścieżką do domku na wzgórzu. Dom jest stary, tak stary jak ja, więc znajdziesz bez trudu. Zresztą, tu nie ma zbyt wiele domów, a każdy powie ci, gdzie znaleźć starego Kota. Więc kiedy przyjdiesz?

— Za godzinę, dwie.

— Dobrze. Mam kwas chlebowy, jak za dawnych czasów. Posmakujesz.

— Dziękuję. To będę.

— I nie spóźnij się, bo nie lubię czekać. Mój wiek ma swoje przywileje, młodzieńcze.

— Do zobaczenia więc.

Ekran zmatowiał. Chciał wrócić na górę do swego pokoju, ale usłyszał głos Len.

— Czekam na ciebie ze śniadaniem, Stef.

„Wstała wcześniej i czekała” — pomyślał i było mu miło.

Wszedł do pomieszczenia z aprowizatorem i zobaczył Len siedzącą przy stole i czekające śniadanie.

— Pojadę do Yrobo — powiedział.

Len precyzyjnie ścięła nożem czubek jajka, a potem spojrzała na niego.

— Kiedy?

— Zaraz.

Potem jadł płatki owsiane na mleku, bo był głodny. Był to przykry początek dnia, ponieważ przypominał

mu najbardziej niemiłe chwile dzieciństwa, ale przedtem powiedział, że chętnie jada to właśnie, bo nie chciał Len prosić o nic innego. W końcu odsunął talerz w połowie jeszcze pełny i nadpił kawę z mlekiem z dużego kubka.

— Teraz powiedz, Len, co byś chciała o mnie wiedzieć.

— Jako reporter nic. Przecież powiedziałam ci już wczoraj, że to nieważne.

— A jednak ci powiem. Ważne czy nieważne, zapracowałam na to i powinnaś ten wywiad napisać.

Słyszałem, co mówił tamten wczoraj. To dla ciebie jest ważne. Ale uprzedziłem cię, że będziesz rozczarowana. Urodziłem się w zeszłym wieku. Pożyłem trochę, nie za wiele, ale właśnie tyle, by zacząć cenić życie. Jak się jest bardzo młodym, jeszcze się życia nie ceni, wiesz chyba. Więc kiedy miałem już żonę, dom i trochę ułożone w głowie, rozbiłem

się samochodem i trafiłem do płynnego azotu, do przechowalni, jak to się teraz nazywa. Przechowywano mnie prawie do teraz i niedawno włączono w życie. Udoskonalenia mego organizmu znasz, ale nie wszystkie. Bo oprócz tego, co widziałaś, tych elementów cyborgizujących, umiem prowadzić eksperymenty, których nigdy nie prowadziłem i rozpoznaję rzeczy, których nigdy nie widziałem. Jedną z tych umiejętności to właśnie to, że jestem manipulatorem. Jest jeszcze parę nieistotnych szczegółów, ale w zarysie to wszystko. Jesteś zadowolona?

— Ależ to przecież połowa serialu z wideo — powiedziała Len.

— Naprawdę?

— Oczywiście. W wideo jest jeszcze druga postać, wielki manipulator, który istnieje niezależnie od debiutanta.

— Debiutanta?

— Tak, tak się nazywa ta rola, którą mi opowiedziałaś.

— Powiedz jeszcze, Len, kto ten serial napisał.

— Jak to, nie wiesz? Racja, nie możesz wiedzieć. Napisał go Kot Fuzjusz. Od stu lat pisze fantastykę naukową. Czasem trudno uwierzyć, że on jeszcze żyje. Wiesz, że jeszcze moi dziadkowie czytali jego książki.

— Rozumiem. Przy takim serialu wywiad byłby nieciekawym. Rozumiem także, że straciłaś niepotrzebnie prawie cały dzień.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak — odpowiedział Korn, mimo że nie był o tym przekonany.

— Wiesz, Stef — Len przyglądała się szklance z herbatą, którą piła — kilka razy w naszym życiu, czasem tylko raz, spotyka się mężczyznę, o którym wie się od razu, od pierwszego spotkania, że to jest ten jeden, jedyny. Ale to nie wystarcza, bo jeszcze są dzieci, inny mężczyzna, który jest twoją rodziną. Albo jest się za młodym, by wiedzieć, jak rzadko to się zdarza.

— Po co mi to mówisz? — przerwał jej.

— Bo chcę, żebyś wiedział.

— Po co?

Teraz spojrziała wprost na niego:

— Żebyś wiedział, że możesz wrócić. Wy — uśmiechnęła się — czasem wracacie do takich kobiet jak ja, gdy jest wam źle.

Wypił ostatni łyk kawy i wstał.

— Pójdę już — powiedział.

— Odprowadzę cię — wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju. Wróciła opięta w brązowy materiał, który zapewne był płaszczem.

— Czym chcesz jechać?

— Sublotem.

— Masz rację. Najszybciej i najwygodniej. Zawołać samochód?

— Daleko do tego sublotu?

— Nie. Możemy pójść pieszo.

Wyszli. Słońce świeciło. Na chodniku po przeciwnej stronie dzieci grały w klasy i słyszał ich gwar. Szli pod słońce. Ulica była pusta. Za zakrętem budynki były większe.

— Tu są automaty usługowe — powiedziała Len.

— Blisko masz do nich.

— Tak, to wygodny dom. Jako reporter wideo mogłabym zmienić na większy, ale nie chcę.

— Myślisz, że ja mógłbym mieszkać w takim domu jak twój?

— Po co ci to? Masz na pewno własnego fantoma. Wtedy mieszkasz i tak po symulowanej stronie.

— Fantoma?

— Nie udawaj naiwnego. Przypuszczam, że jest to przyczyna, dla której nie zwracasz na mnie uwagi. Wy z fantomami jesteście na ogół dla nas, kobiet, straceni.

Chciał powiedzieć, że nie rozumie, ale pomyślał, że Len mu nie uwierzy, więc nic nie powiedział.

— To tutaj — powiedziała Len. — Tutaj jest stacja sublotu.

Weszli do budynku. Sala była niewielka. Sufit płonął jasnym żółtym światłem, a na ścianach migwały różnokolorowe napisy, których nie czytał. Len podeszła do rzędu automatów wbudowanych w ścianę i dotknęła czujnika automatu swoim zliczeni.

— Dokąd? — zapytał automat.

— Odprowadzający — powiedziała Len.

— Proszę o zlicz odprowadzanego.

Korn dotknął teraz czujnika swoim zliczem.

— Dokąd? — zapytał automat.

— Yrobo — powiedział Korn.

— Jak długo trzeba czekać? — zapytała Len.

— Chwilę. Zaraz podstawię ci sublot.

— Mam bezpośredni?

— Nie rozumiem. Co znaczy bezpośredni?

— Czy nie będę musiał zmieniać sublotów, by dojechać do Yrobo?

— Dolecieć, — poprawiła go Len. — A sublot jest indywidualny. Dolecisz tam, gdzie chciałeś.

Zastanawiał się, czy zapytać ją, dlaczego mówi „lecieć”, ale zrezygnował. Nie byli już sami. Na salę wszedł mężczyzna i stanął dwa kroki od nich. Potem weszła jeszcze kobieta z dzieckiem i podeszła do automatów.

Po drugiej stronie sali Korn spostrzegł rynnę, półkoliste zagłębienie o dwumetrowym może promieniu.

Podszedł bliżej i wtedy na dnie zagłębienia zobaczył szynę wykonaną z czarnego nie znanego mu tworzywa. Przy wyjściu z sali z obu stron rynnę zamykały śluzы złożone z licznych zachodzących na siebie płyt ułożonych jak przesłona aparatu fotograficznego w jego czasach.

Len podeszła i stanęła za nim.

— Pewnie się już nie zobaczymy, Stef — powiedziała.

— Dlaczego? Odwiedź mnie, jak będziesz chciała. Masz mój zlicz.

— Nie. Raczej ty przyjedź, jeśli zechcesz. Zresztą i tak wiem, że nie przyjedziesz. Na świecie jest tyle miliardów ludzi i przypadkiem się już nie spotkamy.

— Chyba, że znowu będzie to przypadek z twoją pomocą — uśmiechnął się.

— Nie będzie — powiedziała. — Żegnaj.

— Żegnaj, Len... i dziękuję.

Odwróciła się i odeszła nie oglądając się.

Widział jeszcze poprzez tworzywo ścian jej płaszcz już ina zewnątrz i znów był sam.

— Sublot Korna — powiedział automat przez megafon.

Śluza rozwarła się na moment i rynną, wypełniając ją, przesuwiał się pojazd w kształcie pocisku.

Posuwał się bezgłośnie, wolno, aż stanął. Wtedy góra jego rozwarła się i Korn zobaczył wygodne fotele.

Wszedł do pojazdu i usiadł w jednym z nich. Kopuła zawarła się nad nim i mimo że z zewnątrz była czarna i matowa, ze środka widział przez nią peron, ludzi, którzy wchodzili i wychodzili, i dziecko, które ciągnęło matkę za rękę i chciało koniecznie zajrzeć do wnętrza jego pojazdu.

Na tablicy pod nim zapalił się żółty sygnał.

— Odlot — powiedział głos wewnątrz kabiny.

Pojazd posuwał się wolno wzdłuż peronu poprzez śluzę, która się rozsunęła, a potem był w czarnej czeluści. Czuł siłę wciskającą go w fotel i mknął bezgłośnie w zupełnej ciemności, która była wokół pojazdu.

W kabinie rozbłysły światła.

— Chcesz słuchać muzyki, oglądać wideo czy może jesteś głodny? — zapytał głos.

— Chcę pomyśleć — powiedział.

— Powtórz, nie rozumiem.

— Nie chcę nic. To chyba rozumiesz — wyciągnął nogi i zanurzył się głębiej w fotelu.

XI

Świadomość wracała opornie, porcjami. Nie było to zwykle przebudzenie. Pędził tunelem bezgłośnie, w ciemności. Uświadomił to sobie dopiero po chwili, a później przyszedł zanik świadomości. Potem widział

już żółte światło, matowy ekran, fotele i wiedział, że jest w sublocie. Zastanawiał się, dlaczego jest tu właśnie, w tym pojeździe. Pomyślał o Kornie i wiedział już wszystko. Jego świadomość znowu zafalowała i pamiętał jakieś miasto, tłum wznoszący okrzyki, powiewający błękitnymi flagami i ludzi w samochodach pozdrawiających tłum. Wiedział, że są kosmonautami i wrócili z Wenus. A potem uświadomił sobie, że to, co pamięta; wydarzyło się przed jego

urodzeniem i zrozumiał, że jest to pamięć innego człowieka, Stefa Korna, informacja, którą odczytała z molekularnych zapisów tamtego jego własna świadomość.

Skupił się i był znowu w sublocie. Bezgłośnie przemierzany czarny tunel przelatywał ponad kopułą pojazdu, rozświetlany niekiedy jedynie samotnym światłem dystansomierzy.

Z trudnością przypomniał sobie zlicz Telpa, zlicz, który pamiętał przecież całe życie. Wyciskając na klawiaturze numery tego zlicza mylił się, mimo że nad pulpitem zajarzyła się mała lampka, gdy zbliżył tam dłoń. Wyciskał numery kilkakrotnie, zanim uzyskał połączenie. W końcu zobaczył w ekranie twarz Telpa.

— Coś ze mną źle... — powiedział. — Bardzo źle...

Tamten patrzył na niego przez chwilę bez słowa.

— Czekałem na twoje wezwanie — powiedział w końcu Telp.

— Musisz mi pomóc, Kew...

Tamten milczał.

— Nie pomogę ci, Jul — powiedział wreszcie — nie potrafię.

— Dlaczego...? Co się stało...? — Terton mówił z trudnością.

— Odchodzisz...

— Dlaczego? Przecież wszystko się udało...

— Zniszczyłeś tamto... tamten świat.

Nie widział już twarzy Telpa. Pamiętał dziewczynę prowadzącą samochód. To była tamta dziewczyna, której twarz widział wtedy w wieżowcu, zanim ją usunął, i

równocześnie była inna, nieuchwytnie inna. Pamiętał zbliżającą się ciemnozieloną ścianę lasu, w

który wchodziła autostrada i błękitne niebo wczesnego upalnego przedpołudnia przechodzące tuż nad horyzontem w biel. Pamiętał, że chciał przytulić tę dziewczynę, którą znał i kochał od dawna, i być z nią, uznać to za rzeczywistość jedyną i ostateczną, rzeczywistość, jaką mają inni ludzie, jego koledzy z instytutu i kierowca tej wielkiej ciężarówki, którą wyprzedzali, palący krótką fajkę i dyskutujący o czymś ze swym towarzyszem. Pamiętał, że potem dojechali do drewnianego domu o stromym dachu wciśniętego w świerkowy las na stoku góry i siedzieli na tarasie, pili herbatę. Patrzył wtedy na dalekie szczyty, gdy wychodziły z chmur. Pamiętał także wieczorem w telewizji sprawozdanie z meczu i potem, zanim zasnął

przytulony do Kar, pamiętał szum potoku odmierzającego minuty upływającego czasu. Patrzył znowu na Telpa i cicho zapytał:

— Dlaczego to pamiętam?

— Co pamiętasz?

— Jego pamięć...

— Odchodzisz Jul, mówiłem ci. Zniszczyłeś symulowaną rzeczywistość i tam już nic nie ma.

— To wiem... Chciałem tego.

— Dlaczego mnie nie zapytałeś?

— Zgodziłbyś się? — chciał się uśmiechnąć.

— Nie, ale powiedziałbym ci, że w czasie każdego seansu, równocześnie, gdy Korn był tam w symulowanym świecie, następowała projekcja twojej osobowości do jego mózgu.

— Projekcja...

— Tak. Ty nigdy nie byłeś tam na stałe. Zawsze byłeś wzmacniany z generatorów pamiętających ciebie, twoją osobowość. Gdy trwałes w jego mózgu, bo to jest jego mózgu, Jul, z każdą minutą ulokowane tam twoje zapisy stawały się trudniej dostępne, były otorbiane, izolowane...

— A teraz...?

— Teraz nie można już ich wzmocnić. Ten wybuch, anihilacja tamtej rzeczywistości...

Znowu nie widział Telpa, tylko natrętnie słyszał fragment czegoś większego, jakiegoś tekstu, którego nigdy nie czytał.

— ...a chmury zostaną i drzewa zostaną, i las wykiełkuje...

Nie pamiętał, co to było i jaki miało związek z tym, co było.

— Możesz mnie uratować, Kew — powiedział, gdy znowu widział Telpa.

— Nie mogę. To już koniec, Jul. Chciałbym, wierz mi...

— Na pewno możesz. Tacy jak ty... tacy nigdy nie odcinają ostatniej możliwości. Chyba, że wtedy już...

tam, w przechowalni wiedziałeś, że taki będzie koniec.

— Nieprawda, Jul. To ty sam...

— Zawsze tak mówicie. Ale wy tworzycie możliwości... i zostawiacie...

— O czym mówisz?

— ...dla takich jak ja, którzy są głupi i myślą, że wszystko mogą.

Znowu nie widział Telpa, tylko skrzący śniegiem stok i miał świadomość, że coś się stało.

— A jak będzie z eksperymentem... — mówił nie widząc Telpa — przecież to wszystko po to, by Ich usłyszeć.

Nie było odpowiedzi, więc skupił się i znowu widział. Twarz Telpa była w ekranie.

— Przekaż mnie do przechowalni — powiedział. — A potem coś zrób, żebym wrócił. Ja chcę żyć... jeszcze trochę...

— Nie mogę. Jesteś daleko.

— Ale mogłeś... przecież wiedziałeś...

— Nie powiedziałeś mi.

— ...zawsze byłeś taki, Kew, zasadniczy i uparty... Jak cię nosiłem na rękach, uparłeś się, by mi zabrać...

Zapomniał już, co ten chłopak, którego pamiętał, chciał mu wtedy zabrać.

— A ona nie zginęła naprawdę... — powiedział w końcu.

— Kto?

— Ta dziewczyna, tam w mieście. Pamiętam ją teraz i jest inna. Tę drugą znam i zawsze ją znałem, tylko inaczej. Dobrze ją znałem, tylko nie wiem... Całe życie ją pamiętam, ja ją pamiętam, nie on...

pamiętam inaczej.

— To już teraz nieważne, Jul.

— Chciałbym wiedzieć.

— Po co?

— Po prostu wiedzieć!

Znowu nie widział Telpa, tylko pamiętał noc, pustynię, jakąś starą budowlę i gwiazdy...

Potem widział jeszcze inny czarny tunel, którym mknął ku dalekiemu światłu i słyszał monotony werbel,

ale nie widział już kabiny, ekranu ani żółtego światła sygnału... i Julius Terton przestał być. Telp patrzył

jeszcze przez chwilę na niego.

— Żegnaj — powiedział i wyłączył ekran. Pomyślał, że jest jedyny z ośmiu miliardów, który żałuje tego, że Julius Terton odszedł.

Korn przebudził się, gdy automat zapowiedział przylot do Yrobo. Zastanowił się, dlaczego spał tak mocno i zdziwił się, gdy spostrzegł, że ekran w kabynie jarzy się szarą poświatą. Wyłączył ekran. Po kilkunastu sekundach służby rozwarły się i sublot zatrzymał się przy peronie. Kopuła rozeszła się. Wyszedł

na zewnątrz. Był w Yrobo.

XII

Słyszał jego śmiech, gdy automat otworzył mu drzwi i przepuścił go przodem.

Stał na progu ogromnego pokoju, którego jedna ściana była oknem i wychodziła na dolinę, której dnem wśród kamieni i głazów płynęła rzeka. Bliżej były drzewa przysłaniające drogę, którą przyszedł, i w dole domy. Dwie ściany były po prostu półkami na książki, setki książek, a w ścianie naprzeciw okna płonął

prawdziwy ogień w prawdziwym kominku.

Sam Fuzjusz siedział w wózku na kółkach, a jego nogi owinięte były pledem.

Odłożył książkę, którą czytał, patrzył na Korna dalej się uśmiechał.

— Więc ty jesteś Stef. Świetnie wyglądasz. I nie da się ukryć, że niewiele się postarzałeś, czego nie można powiedzieć o mnie.

— Ty mnie znasz? — zapytał Korn.

— Co gorsze, ty mnie także. Pamiętasz Kota? Zawsze stałem na bramce.

— Na bramce?

— No tak. Kto tu ma sklerozę, mój drogi? Ty byłeś w ataku, bardzo ważny. A ja byłem trochę mały, ale nikt nie chciał stać na bramce, więc stałem ja.

— Kiedy to było?

— W budzie. Nie pamiętasz? Popraw mi pled, bo mi nogi marzną.

— Byliśmy razem w szkole?

— Jasne. W jednej klasie. Ty byłeś lepszy. Tak zwany dobry uczeń. Ja przepychałem się na trójczynach i czasem mi podpowiadałeś. Im się jest starszym, tym lepiej pamięta się takie rzeczy.

— Kot. Pamiętam, rzeczywiście...

— No, widzisz, jak byś teraz wyglądał, gdyby nie twój przechowalnik. Udało ci się, szkoda gadać. Zresztą minie też. Jesteśmy pewnie ostatnimi z naszej klasy. Ale ty będziesz jeszcze, gdy na mnie już wyrosną kwiatki. Poszedłeś potem chyba na fizykę czy biologię, a ja, cóż, zacząłem pisać i póki co, robię to do dzisiaj.

— Wiem. Wiem. Twój nowy serial w wideo.

— Właśnie, ale ten serial to twoja zasługa. W naszych czasach w fantastyce najlepsze są tematy z życia.

Poluję na takie nowości, wysłuchuję wszystkich biuletynów z tymi dziwnościami, które współcześni wymyślają, szperam po informatorach i czasem trafię na coś naprawdę dobrze wymyślonego.

— Mówisz o mnie?

— A choćby. I tak ciesz się, że nie przetrzymali cię następne sto lat w przechowalni. Dopiero by cię urządzili!

— Myślę, że i bez tego trudno coś dodać do tej mojej historii.

— Nie zwracaj, Stef, głowy. Nie rozmawiasz w końcu z amatorem. Bez trudności dopisałbym ci parę sytuacji, które pewno by ci się nie spodobały. Spójrz na to obiektywnie. Byłeś młodym naukowcem, nawet zdolnym, ale nie za bardzo. Sympatyczna żona, bardziej zdolna od ciebie, co byś nie powiedział, a to zazwyczaj nie łączy się z nadmiarem szczęścia w małżeństwie. Dziecko w drodze.

— Dziecko?

— Syn. Urodził się w osiem miesięcy po twoim wypadku. Udany, zdolny chłopak, tylko łobuz i drań. Częściowo mu to z latami przeszło, ale coś zawsze zostało.

— Czy jeszcze żyje?

— Czy to ważne? Na razie mówimy o historii i nie przerywaj staremu człowiekowi.

— Skąd ty to wszystko wiesz... Kot? — jego imię wymówił z oporami, bo nie przywykł jeszcze do tego starego człowieka, który mówił, śmiał się i znowu mówił.

— Jak tylko dowiedziałem się o twoim planowanym powrocie, przeprowadziłem dogłębne studia. Ja nie jestem leniwy, jak ci wszyscy współcześni i jak o czymś piszę, zbieram materiały, skąd się da. A czasu mam dosyć.

Nie masz pojęcia, jak dużo czasu ma człowiek w moim wieku. Gdy raz sobie powie, uświadomi sobie naprawdę, że tutaj na Ziemi nie jesteśmy na stałe, jak pogodzi się z tą myślą, zaczyna widzieć świat we właściwych proporcjach. Potem może wybierać, to co go naprawdę interesuje, a ty, Stef, bardzo mnie interesujesz. Pomijając już fakt, że jesteś moim szkolnym kolegą i, jak mówiłem, jedynym żyjącym, to twój przypadek jest bardzo nietypowy, poskręcany, pogmatwany, a równocześnie unikalny; jedyny po prostu temat na historię dla mnie.

— A moja żona, Kar. Wiesz coś o niej?

— Oczywiście. Miała zawsze problem, czy przynosić ci kwiaty do przechowalni. Wtedy przechowalnie były nowością. Radziła się przyjaciół i znajomych, zdecydowali w końcu, że nie należy nosić kwiatów tym, którzy trwają, a jedynie tym, którzy byli. W czasie tych dyskusji poznała filozofa i eseistę Roberta... jak mu tam było... matm gdzieś jego nazwisko w mnemotronach, i wyszła za niego za mąż, oczywiście, po uznaniu ciebie przez sąd w sensie prawnym za zmarłego.

Uroczystość była skromna, ale gustowna. Mam w archiwalnych mnemotronach nawet fotografię. Zapewniam cię, wyglądała świetnie. Potem dalej doskonaliła się w medycynie kosmicznej uzyskując kolejne stopnie naukowe i zaszczyty. Mieszkała nawet przez półtora roku na Księżycu, sama, bo męża filozofa eseistę tam nie przyjęli. Wychowywał więc na Ziemi twego syna, jak mógł najlepiej, ale nie odniósł wybitnych

sukcesów wychowawczych. Potem rozstał się z twoją byłą żoną dla tancerki kabaretu „Droga Mleczna” i niebawem umarł gdzieś po drugiej stronie planety, gdzie na gościnne występy pojechał kabaret. Natomiast twoja była żona żyła jeszcze lat kilkanaście i w ostatnich latach zaczęła ci nawet przysyłać kwiaty do przechowalni. Jej prochy spoczęły na cmentarzu w rodzinnym twoim mieście, gdzie niewątpliwie ty również dziś byś się znajdował, gdyby nie twoja skłonność do szybkiej jazdy samochodem.

Jak widzisz, nie straciłeś tak wiele, szczególnie patrząc z perspektywy czasu, i uniknąłeś zapewne więcej kłopotów niż przyjemności.

W tej chwili jesteś młody, znany, masz trzydzieści kilka lat i możesz ze współczuciem patrzeć na swego kolegę w jego ostatnich być może miesiącach wycieczki po tej planecie. W tym wieku, mój drogi, każdy dzień jest darowany.

Starzec umilkł na chwilę, lecz Korin nie patrzył na niego, tylko przez okno na drugi skraj doliny, gdzie na stoku przeciwległego wzgórza rósł las.

— Oczywiście — mówił znowu starzec — to przeniesienie w czasie ma swoje trudne strony. Tak naprawdę to człowiek powinien żyć w czasach, w których się urodził i wychował. Gdy jest młody, uczy się świata, tworzy w swoim umyśle własny model rzeczywistości, któremu potem przez całe życie jest wierny. I nie może inaczej, bo tak nas uwarunkowała ewolucja, która nie przewidywała ani takich starców jak ja, ani takich jak ty podróżników z ciekłego azotu. Kiedyś, gdy świat był niezmienny lub wolnozmienny, człowiek żył całe życie w jednakowym świecie, takim, jaki ten świat był w jego młodości. Potem, już w zeszłym wieku, gdy wszystko zaczęło się zmieniać coraz szybciej, na starość ludzie żyli w innym świecie niż ten, w którym się urodzili, i czuli się źle, bo rzeczywistość nie zgadzała się z utrwalonym w ich umyśle modelem. Powiem ci, Stef, gdy patrzę w przeszłość, myślę, że dlatego zostałem twórcą rzeczywistości pomyślanych, żeby im mówić, że to, w czym żyją, nie jest jednoznacznie realnością daną czy zastaną, ale jedną z wielu możliwości, których ogromu liczby pojąć nie sposób. I tutaj, Stef, masz swój problem. Świat, w którym teraz żyjesz, jest inny.

— Wiem o tym. Ale co z tego? Jakie widzisz rozwiązanie?

Starzec się nie uśmiechał.

— Jestem bezradny, Stef. Tego nie można obejść i pozostać nadal sobą. Z tym musisz się pogodzić. Ale pomyśl, gdybyś przestał trwać za pięćset lat, za tysiąc, co wtedy...?

— Ty na pewno masz jakieś propozycje dla swoich bohaterów?

— Tak. Ale są to propozycje żałosne. Scena, Stef. Życie tą namiastką życia, jaką jest gra aktora w

sztuce, która była kiedyś samym życiem. Odegranie swojej roli na scenie, jeśli sceny będą jeszcze istnieć, a potem nicość do następnej roli i tak bez końca. Albo symulowana rzeczywistość jako jedyne życie. Tylko czy dla takich ról warto trwać setki lat? Czy nie lepsze jest tradycyjne rozwiązanie?

— Przecież oni mogą, gdy zechcą, żyć naprawdę, poznać nową rzeczywistość, stać się jej częścią.

— Nieprawda. To jest kłamstwo takich jak ja. Czy wyobrażasz sobie człowieka sprzed pięciuset lat w naszej rzeczywistości? On naprawdę nie ma w niej miejsca, tak jak nie ma w niej miejsca dla rycerzy, koni, tamtych zamków i królów. Każdy człowiek jest częścią swojej rzeczywistości od chwili, gdy dorośnie, do śmierci. I nie powinien z niej wychodzić. Tak, że ty, mój drogi, masz szczęście, wyszedłeś ze swoich czasów, ale na jeden krok naprzód, na tyle tylko, że możesz jeszcze spotkać kogoś, kogo znałeś i zobaczyć jeszcze ślady świata, który pamiętasz. Masz szczęście, Stef.

— A ci co trwają w przechowalniach?

— Ich nie zbudzą właśnie dlatego. Tamci trwać będą, gdy biegun Ziemi zmieni swe położenie i Gwiazda Północna przestanie wskazywać północ. Przynajmniej trwać tak będą ich mózgi zamrożone w płynnym azocie, te wyizolowane małe Wszechświaty, w których dzieje się symulowana rzeczywistość, zamrożona i zatrzymana w tym momencie, gdy przestali żyć i zaczęli trwać. Ale te ich małe Wszechświaty mogą istnieć i działać tylko wtedy, gdy zanurzone są w wielkim prawdziwym Wszechświecie, bo są jedynie jego odbiciami i zniekształceniami. Wyizolowane, odcięte od doznań zewnętrznego świata degenerują się, ich funkcje się rozpadają, a zanim ostatecznie funkcje te się rozpadną, są oszalałe i nieszczęśliwe. Jak widzisz, biskup Berkeley przesadził.

Starzec umilkł na chwilę.

— Podsuń dREW do ognia — powiedział — z każdym rokiem coraz bardziej marzną i klimatyzacja nic tu nie pomaga. Dopiero, gdy widzę ogień, jest mi ciepło.

Korn podszedł do kominka, przy którym ułożone były szczapy. Wrzucił kilka do ognia i czekał, aż płomień zahuczał i wzniósł się znowu.

— A mnie jednak zbudzili — powiedział.

— Bo nadeszły sygnały z Kosmosu. Pewnie one nadchodziły zawsze, tylko dopiero odebrano je, gdy stworzono nowe filtry. Zawsze szukano jednego tonu, jednego sygnału, a to jest symfonia w szerokim paśmie na wiele widm różnych atomów. I odtworzenie tej kompozycji jest problemem, odtworzenie zgodne z zamysłem jej twórców. Mózg człowieka nie potrafi zgadnąć jej koncepcji, tak samo, jak nie potrafią tego automaty, które są tylko jego rozwinięciem i usprawnieniem. Tę kompozycję trzeba raz usłyszeć, żeby ją później odbierać. To tak jak z dźwiękami, które są w śpiewie ptaków, wiejącym wietrze i szumie wodospadów. Ale trzeba je złożyć w utwór, by stały się muzyką. A ewolucja wytworzyła mózg taki, jaki jest, ani zbyt specjalizowany, ani zbyt uniwersalny.

— O czym ty mówisz?

— O nadsystemie, nawet go nie nazwano, a on jeden jest ewolucyjnym krokiem naprzód. Stworzono go, lecz nikt nie wie, jak działa. To także reguła ewolucji, że z niższego poziomu organizacji można złożyć wyższy, jakościowo inny, lecz w ogromnych liczbowo możliwościach złożań nie sposób przewidzieć jego działania. Tak jak z molekuł można złożyć komórkę, z komórek organizm, czy z ludzi społeczeństwo. Potem, jak się zna już zasadę działania takiego złożenia, można ją wyjaśnić działaniami elementów, z których się składa, ale nie odwrotnie. I taki nadsystem złożono. On może zrozumie przesłanie z Kosmosu i przekaże nam Interpretacje.

— A ja?

— Ty jesteś manipulatorem, tym, który włącza się do tego nadsystemu i nadśluchuje. To nie jest bezpieczne zajęcie, manipulatorze!

— Dlaczego?

— Jak z każdym Wielkim Przekazem. Trzeba spełnić warunki, by go usłyszeć i pozostać sobą.

Oczywiście, w naszych czasach mówimy o tym w kategoriach nauki. Twój mózg musi być funkcjonalnie dostatecznie integralny, by nie nastąpiło zwichrowanie funkcji, gdy Przekaz dotrze. Twoje hamowanie korowe musi być dostatecznie sprawne, by świadomość, ten szczyt góry lodowej nad bryłą podświadomości przetrwał Przekaz. Nie przypadkiem starożytni mędrcy we wszystkich kulturach świata, umartwiali się i trwali w samotności na pustyni. Wzmacniali swoje hamowanie korowe i także czekali i nadśluchiwali.

— A ten drugi?

— Który?

— Ten z twego serialu.

Starzec milczał przez chwilę.

— On... on może nie mógł usłyszeć. Możliwości techniczne to nie wszystko. Może on trwał jeszcze w epoce

przemocy, która minęła. Może był po prostu korzeniem, pniem, na którym zaszczepiono nowy pęd. On umiał i wiedział, ale nie słyszał. A tak jego umiejętności są twoimi... Może tobie się uda. Nie wiem... A teraz jestem już zmęczony — starzec przymknął oczy, a gdy Korn był przy drzwiach, powiedział cicho, tak że Korn ledwie go usłyszał: — Nie zagramy już nigdy więcej w piłkę, Stef. Żegnaj.

Wyszedł przed dom Fuzjusza i spojrzał w dolinę. Południe dawno minęło i cienie stawały się dłuższe.

Słyszał daleko szum rzeki płynącej korytem wśród kamieni przyniesionych z gór.

— Czekałem na ciebie — powiedział ktoś za nim.

Odwrócił się. To był Rot, którego pamiętał z tych dni, gdy się obudził.

— Witaj.

— Lecisz ze mną stratorem do instytutu.

— Tam? Po co?

— Tym razem nie do instytutu, w którym się przebudziłeś. — Wracasz na pustynię. Czekają na ciebie.

Strator stał na małym lądowisku, tuż za domem. Wystartowali i Korn patrzył na słońce, czerwone, wielkie. Patrzył w nie przez pancerną szybę i Rot zauważył to, bo odwrócił się i powiedział:

— Dziwisz się, że jest takie czerwone. Z roku na rok staje się coraz czerwiejsze, szczególnie tam, nad horyzontem. Teraz czasem nawet w południe bywa czerwone.

— Tak było zawsze nad wielkimi miastami. W moich czasach także.

— Ale teraz słońce czerwienieje nawet nad wysepkami Pacyfiku.

Korn nie odpowiedział.

Przyspieszeń nie czuł i podejrzewał, że strator napędzany jest rodzajem silnika, którego nie znał. Był fizykiem i wiedział, jaki silnik nie powoduje odczuwalnych przyspieszeń, lecz właśnie z tego powodu, że fizykiem był, nie mógł pogodzić się z myślą, że leci grawitolotem. Był w tym jakiś dysonans, bo grawitolot był niewyobrażalnym silnikiem przyszłości, a przecież pod nim przesuwiał się krajobraz jego czasów.

„To tak jak wszystko w tym nowym świecie — pomyślał. Jest prawie takie same, a jednak zasadniczo inne. Tak pewnie właśnie wygląda postęp tej cywilizacji. Pozornie niewiele się zmienia, a gdy odczekasz kilkadziesiąt lat, zostają tylko zewnętrzne dekoracje, a środek, istota rzeczy, jest już inny”.

Patrzył z góry na kolonie małych jednakowych domków rzucających długie cienie w wieczornym słońcu, plamy zieleni w ogródkach i myślał, że z powietrza wygląda to tak samo, jak kilkadziesiąt lat wcześniej.

Spojrzał na Rota siedzącego obok na drugim siedzeniu dwuosobowego stratora, przyrządy, których działania i sensu nie znał, a potem na wolną przestrzeń za siedzeniami oświetloną czerwonymi promieniami słońca padającymi przez owale okien. Słońce na chwilę przygasło i zaświeciło jaśniej. Przebili zwiewną warstwę oparów i teraz widział ciemny granat nieba przechodzący w czerń, gdy wznosili się coraz wyżej. W dole, w fioletowej mgle

została ziemia, szara, jednostajna i tylko czasem gdzieś z boku błyskała na chwilę powierzchnia wody, w której odbiły się promienie słońca.

— Wchodzimy w stratosfere, rozwijamy pełną szybkość i niedługo będziemy na miejscu. Cierpliwości, Korn — powiedział Rot.

Mówił do niego tak, jak mówi się do kogoś, kto przybywa z daleka. Wyglądał dokładnie tak jak piloci w widowiskach stereowizji: wysoki, o pół może głowy wyższy od Korna, w czarnym skafandrze, który opinał

jego szerokie plecy. Teraz w stratorze także z trudnością mieścił się w fotelu i Korn patrzył na jego szerokie dłonie obejmujące uchwyty drążka steru. Siłę tych dłoni poczuł na moment, gdy tamten przy przywitaniu uściśnął mu rękę.

„A jak jest z człowiekiem? — pomyślał Korn. — Czy ten Rot, który mógłby pilotować raketę moich czasów, jest inny? A Len, Nort, Gotan, Telp? Czy oni są z moich czasów, czy są już z przyszłości?” Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. „Może potem, gdy zostanę tu dłużej, będę wiedział” — pomyślał. Lecz równocześnie uświadomił sobie, że jeśli oni są inni, to ten świat też jest inny i nigdy nie będzie jego światem.

Spojrzał ku ziemi, lecz widział już tylko fioletowy opar zasłaniający wszystko: i ląd, i wodę, i to, co przez miliardy lat stworzyła ewolucja, a potem uzupełnił jej ostatni produkt. A w górze były gwiazdy, beznadziejnie odległe sygnały atomowego ognia, który tli się w Kosmosie, ponad czasem, niemal na skraju samej Wieczności. Pomyślał o

dalekich słońcach, w których minionych wnętrzach trwa wszystko, co jest Kosmosem, a więc i Kosmos sam, o sygnałach spiral galaktyk przesuniętych ku czerwieni, niesionych przez starzone przez wieczność fotony, o słowach przesyłanych w języku, który jest głosem Wszechświata i samotności planety, której sam jest częstką. Potem najmniejsze gwiazdy zgasły, a jasne zaszły mgłą.

— Lądujemy — powiedział pilot — i za chwilę już gwiazd nie zobaczysz, mimo że są tam zawsze. Z Ziemi naprawdę gwiazd nie widać. I nie słyszymy ich, mimo że zawsze do nas mówią. Od wieków nadśluchiowano ich głosu. Teraz twoja kolej, Korn.

1968—1978